Cena egzemplarza
w W. Brytanii ... 9 d.
w Belgii .... 5 fr.b.
we Francji ..... 10 fr.fr.
w Holandii ..... 40 cent
w Niemczech .... 2 RM.
w Szwajcarii .... 40 rp.
w Szwecji ...... 60 öre
we Włoszech ... 30 lir

ZWYCIĘŻYMY

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

Rok VII Sobota 20 września 1947 r. Nr 38 (272)

W NUMERZE

STANISŁAW GIERAT — Sowiecka walka z chłopem
ZASTĘPCA — Blaski i cienie Francji
J.K. — Przed nową falą czystek wewnętrznych
TADEUSZ JANTAR — Mistyczne majaczenia
J.E. TYMIŃSKI — Kongres pisarzy skandynawskich
MISS EMMI GRANT — Straszny sen ob. Borejszy
ROMAN ORWID-BULICZ — Bagaż
JULIUSZ ZNANIECKI — Miłość
HENRYK MIRZWIŃSKI — Pożegnanie
„Plan Stalina" dla Polski
ST.R. — Przegląd gospodarczy

„ANDERS - POLES"

Znana jest ironiczna recepta, której autorstwo przypisywano Wolterowi: „Łgać, łgać — zawsze coś z tego pozostanie". Nie jest pewne czy Wolter był rzeczywiście jej autorem. Ale nikt nie wątpi, że była ona szeroko stosowana w polityce — a w ostatnich latach w odniesieniu do sprawy polskiej w szczególności. Były po temu pewne powody, które stopniowo odpadają, więc i stopniowo prawda się odsłania. Jeszcze jednak, obijają się po kątach różne strachy na Lachy, poowijane w prześcieradła.

Dla każdego człowieka, obdarzonego choćby krztyną zdrowego rozsądku, było rzeczą jasną, że wszelka propaganda antypolska, a więc przede wszystkim propaganda sowiecka musiała bardzo szybko zwrócić się przeciwko Drugiemu Korpusowi polskiemu i jego żołnierzom. Obrzucano ich wszelkimi możliwymi obelgami, przedstawiając w fałszywym świetle ich czyny, zniekształcając ich rolę. Inaczej być nie mogło.

Przypomnijmy następujące fakty:

1) Trzonem Drugiego Korpusu byli ludzie, deportowani z Polski do Sowietów w okresie współpracy sowiecko-hitlerowskiej. Widzieli oni raj sowiecki własnymi oczami i doświadczyli jego dobrodziejstw na własnej skórze. Pozostawili za sobą setki tysięcy zamęczonych współbraci. Tych ludzi nie ima się żadna propaganda, żadne kłamstwa o sowieckim raju.

2) W chwili rozbioru Polski w Jałcie i oddania jej w niewolę rosyjską — żołnierze Drugiego Korpusu określili jasno swoje stanowisko, nazywając rzecz po imieniu. Było to bardzo niewygodne nie tylko dla polityki sowieckiej, ale i dla tych ludzi na Zachodzie, którzy gotowi byli poświęcić wszystko (cudze) dla uzyskania wsparcia ze strony bogatego w ludzki „materiał" sowieckiego sprzymierzeńca i dla zmniejszenia własnych strat. „Zamazanie" sprawy polskiej stało się znacznie trudniejsze.

3) W tej niesłychanie dramatycznej sytuacji Drugi Korpus spełnił jednak swój obowiązek żołnierski do końca, i przyczynił się walnie do zwycięstwa sprzymierzonych, znacząc swą drogę szeregiem bitew o pierwszorzędnym znaczeniu. Nie posłuchał żołnierz Drugiego Korpusu rad, idących ze strony nieodpowiedzialnych uczuciowców, którzy wobec jawnego złamania zobowiązań przez sojuszników, myśleli o zaprotestowaniu przez złożenie broni. Wiedział, że idąc za tymi radami, byłby oddał tylko kapitalną przysługę naszym wrogom i byłby doprowadził do zlikwidowania za jednym zamachem sprawy polskiej, ułatwiając wszystkim umycie rąk i zwolnienie się na przyszłość od wszelkiej odpowiedzialności.

W tych warunkach nie pozostało propagandzie sowieckiej nic innego jak zwykłe oszczerstwa i m.in. rozgłaszanie najbezczelniejszego kłamstwa: że Drugi Korpus jest jakąś... organizacją polityczną, sprzeciwiającą się błogosławieństwom, jakie właśnie miały spaść na Polskę pod rządami jego sowieckiej mości. Propagandzie sowieckiej sekundowali dzielnie jej zagraniczni agenci oraz ci spośród polityków i publicystów w Europie zachodniej, którzy sądzili, że za cenę przyjęcia en bloc wszystkich kłamstw sowieckiej propagandy, uzyskają jakieś niebywałe korzyści polityczne (przede wszystkim możność długiego „oddechu") i że w ostatecznym rachunku dobrze im się to opłaci. Jak się opłaciło i jakie to mianowicie korzyści uzyskali — wiedzą teraz sami.

Ze zdziwieniem i z goryczą patrzył żołnierz Drugiego Korpusu, jak na jego głowę spadały oskarżenia o „reakcję", „faszyzm", itp. Gdy jednak „reakcjonistami" i „faszystami" stali się z kolei w propagandzie sowieckiej wszyscy niemal wybitniejsi przywódcy Zachodu, brytyjska Labour Party, p. Bevin, socjaliści europejscy i w ogóle wszyscy, z wyjątkiem członków partii komunistycznej — wówczas co mądrzejszy przestawał dawać wiarę strasznym opowieściom o „Anders - Poles", znalazłszy się w tym samym koszyku.

Gdy czytało się w różnych wydawnictwach (choć wiele nie uległo tej manii) przeróżne bajki o „Anders - Poles" i o sprawach polskich w ogólności, to dziwiliśmy się skąd w tych uczonych głowach nagromadziło się tyle fałszywych informacji, tyle ignorancji i przesądów. W rzeczywistości — gdyby niejeden z owych znakomitych autorów chciał czy mógł wówczas mówić swobodnie i szczerze, powiedziałby po prostu: „Ależ, moi panowie, ja wiem doskonale, że to co głoszę jest nieprawdą i fałszem. Ale w tej chwili jest to nam potrzebne. Przykro mi, że skupiło się na was. A przy tym w ten sposób łatwiej mi będzie się usprawiedliwić, bo ludzie po większej części i tak nie wiedzą jak naprawdę wyglądają sprawy".

Był to rachunek nieuczciwy i, jak się okazało, zawodny, ale jednak rachunek. Natomiast nie warto wspominać o pomniejszych głuptasach politycznych, którzy te bajki brali poważnie i może jeszcze biorą.

Na prawdę jedynym programem politycznym Drugiego Korpusu — o czym wiedział każdy żołnierz — była walka o niepodległość Polski i o cele, ogłoszone światu jako wspólne wszystkim armiom sprzymierzonym. Jak w każdej większej jednostce wojskowej, zebrali się tam ludzie wszelkich zawodów i stanów, najprzeróżniejszych poglądów politycznych i społecznych, różnych wyznań religijnych i — ze względu na strukturę Państwa Polskiego — różnych nawet narodowości: Polacy lub Ukraińcy, Białorusini obok Żydów. Nikt nie usiłował „glajszaltować" różnic, nikt nie krępował wewnętrznych dyskusji i wymiany poglądów. Na zewnątrz obowiązywało wskazanie Dowódcy: „Odrzucamy to co nas dzieli, zachowujemy to co nas łączy". Łączy wszystkich: obowiązek żołnierski, służba krajowi i prawu.

Zjawiały się zresztą z różnych stron żądania, aby w organizacjach i prasie Korpusu dawać wyraz tym czy innym upodobaniom społecznym czy politycznym, ogłaszać szczegółowe programy na przyszłość, narzucać linię tego czy innego ugrupowania. Nie było nic dziwnego w tych żądaniach. Gdyż rodziły się one w środowisku, złożonym nie z młodzieży poborowej, ale z ochotników, zapaleńców o gorących sercach, z ludzi, którzy przyszli po to, by walczyć dla sprawy. Niemniej jednak żądania te nie mogły być i — słusznie — nie zostały spełnione. Wojsko nie jest odpowiednim środowiskiem do załatwiania takich spraw. Jeżeli były jakieś w tej dziedzinie uchybienia, to były one tylko przypadkowe lub wynikały z nieświadomości. Utrzymano bezstronność i zgodę. Ale — gdyby żądania te były spełnione, to wówczas dopiero mogły były zjawić się słuszne zarzuty, że chce się z Korpusu uczynić ugrupowanie polityczne.

Żołnierz Drugiego Korpusu był przez cały czas żołnierzem całej Polski i obrońcą całego jej dorobku ideowego. To co nie należało do niego, pozostawiał rządowi polskiemu na obczyźnie, stronnictwom, działającym tajnie w kraju i przez nie wyłonionemu przedstawicielstwu. Tak to rozumieli wszyscy — ludowcy i endecy, socjaliści i chadecy, ludzie, którzy byli w Korpusie od początku i ci co przyszli później.

Dziś, gdy Korpusu już nie ma, każdy z jego dawnych żołnierzy, przechodzący do życia cywilnego, odzyskuje pełne prawo swobodnej działalności politycznej i społecznej — na prawicy, na lewicy czy w środku. Coś jednak pozostaje z owego zwyczaju poszukiwania wspólnego języka. Pozostaje przekonanie, że istnieje pewna hierarchia spraw i że najpilniejszym zadaniom trzeba dawać pierwszeństwo. Wiemy o tym, że gdy w „terenie" b. żołnierze Drugiego Korpusu dowiadują się, od czasu do czasu, o sporach toczących się wśród politycznych działaczów na wychodźstwie — to bynajmniej nie lekceważąc ich treści, nie dają się tak łatwo, jak „stara" emigracja ponosić zapamiętaniu i niechęci. W myśl swej tradycji wierzą, że najważniejsze jest teraz to, aby głoszono prawdę o Polsce, aby kraj był wolny, aby w Polsce każdy mógł mówić to, co chce, głosić to, w co wierzy — zanim się okaże, czego kraj chce rzeczywiście.

Jeżeli w swej przyszłej działalności b. żołnierz Drugiego Korpusu potrafi stać się czynnikiem równowagi i porozumienia, jeżeli przyczyni się do wytworzenia poglądu, że przyjęcie wspólnych zasad działania nie tylko nie wyklucza szacunku dla cudzych przekonań, ale — przeciwnie — na nim się buduje, to spełni zadanie pożyteczne i w tych trudnych chwilach szczególnie ważne.

W tej właśnie umiejętności wzniesienia się ponad istotne w zasadzie — ale w niektórych sytuacjach drugorzędne spory — tkwi tajemnica nienawiści, jaką „Anders-Poles" cieszą się (dosłownie) wśród tych, którzy sprawie polskiej chcą szkodzić wszędzie i uparcie. I tu jest wyjaśnienie dlaczego propaganda sowiecka obdarza dziś tym mianem w Polsce i na całym świecie wszystkich Polaków, bez względu na przekonania polityczne i przynależność partyjną, którzy chcą Polski niepodległej i o nią walczą.

J. Pr.

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

Calveley'skie ucho igielne

(Korespondencja własna „Orła Białego")

Londyn, w sierpniu

Łany zboża wcinają się głęboko pomiędzy baraki. Żniwa. Angielscy farmerzy pracują cicho — bez śpiewów czy nawoływań. Pola przecinają wąskie betonowe ścieżki. Trawa porasta schrony, deszcze przymgliły napisy orientacyjne RAF'u. Kiedyś było tu wielkie lotnisko wojskowe. Dziś w Calveley mieści się jeden z obozów tzw. „nadliczbowych oficerów".

Wiejska, statyczna cisza zatapia wszystko jak ocean ocembrowany dalekimi horyzontami. W obozie panuje milczenie. Oficerowie w strojach kąpielowych wygrzewają się w słońcu — inni spacerują małymi grupkami po grzecznych betonowych ścieżkach. Na rozciągniętych między baraki sznurach suszy się bielizna.

W klubie bridge.

Przed południem z otwartych okien baraku NAAFI, świetlicy i Kasyna dobiegają zdania z nieśmiertelnego Eckersley'a. Odbywają się lekcje angielskiego.

Rytm życia obozowego jest siłą samodzielną i niezależną jak bieg rzeki. Całość dnia podzielona jest posiłkami. Przed południem jest poczta i lekcja, po obiedzie trzeba się przygotować do lekcji na dzień następny — wieczorem spacer, a gdy słota — bridge. Rutyna codziennego szablonu tężeje w tych kratkach podziału godzin, jak beton nalany w żelazną formę. Dni calvelejskie przesuwają się szybko jak paciorki różańca — bliźniacze w swej powszedniości.

O 9 rano przybywa do Calveley łącznik ze świata. Niemłoda ruda Angielka w granatowym mundurze przywozi na rowerze listy z pobliskiego Nantwich. Podoficer pocztowy odbiera listy i odczytuje nazwiska. Oficerowie zebrani w małym baraku słuchają w milczącym skupieniu. Listy podawane są z rąk do rąk adresatowi. Listy z Polski poznaje się natychmiast po ogromnych znaczkach i tanich niebieskich kopertach. O 9,20 tłum odpływa z pod małego baraku. Zaczyna się zwykły dzień obozowy.

Mieszkańcy Calveley to ludzie odcięci. Odcięci od Kraju, pracy zawodowej, środowiska — od realnego podłoża faktów. Wszystko o czym mówią i rozmyślają to albo wspomnienia, albo projekty. Teraźniejszości nie ma w Calveley. Zastępuje ją namiastka: stan przejściowy. Teraźniejszość, która rozpościera się za bramą obozu, to Anglia zmagająca się z kryzysem — Anglia obca językiem, zwyczajem, ustrojem społecznym i politycznym.

Każdy mieszkaniec obozu reprezentuje ogólne zagadnienie i serię zagadnień indywidualnych. Wachlarz tych ostatnich jest olbrzymi. Byłoby nonsensem kusić się o jakiś schematyzm tych spraw. Bo jak podciągnąć pod ogólną normę zdrowego jak tur dwudziestopięcioletniego podporucznika i sześćdziesięcioletniego pułkownika. Przedmiotem rozważań może być tylko zagadnienie ogólne — zresztą niełatwe i ciernistę. Niełatwe tym bardziej, że nie należy oczekiwać jakichś ogólnych rozwiązań i przez calvelejskie ucho igielne każdy wypracować musi własne odosobnione przejście.

Przed każdym z nas stoją trzy ewentualności: 1. Powrót do Kraju, 2. Emigracja z Anglii, 3. Osiedlenie się na Wyspach Brytyjskich.

Byłoby błędem przypuszczać, że ewentualności te, tak krańcowo od siebie są różne, iż żadnych związków między nimi być nie może. Tak nie jest. Niezmiernie często lęk przed trudnościami, związanymi z osiedleniem się w Anglii, powoduje postanowienie powrotu do Kraju, albo co częściej postanowienie emigracji poza Europę. Często słyszy się zdanie: „Emigruję do Argentyny, bo tu nie ma dla mnie nic do roboty". W ten sposób ów calvelejski stan przejściowy przedłuża się w okres niemal niewymierny. Anglia, „Wyspa Nieznana" — zostaje zamieniona na jeszcze bardziej nieznany kontynent południowo-amerykański. Jedyną dodatnią stroną takiej przemiany jest zyskanie na czasie. „Jadę do Argentyny" — oznacza w pierwszym rzędzie, że nie muszę decydować się osiedlić się w Anglii i stawić czoło trudnościom z tym związanym.

Inni zakładają z góry alternatywę: „Jeżeli nie powiedzie mi się tutaj — wrócę do Kraju". Czy „powiedzie się" w Kraju — o tym nie zawsze się myśli.

Większość jednak nie zamierza wracać do Kraju (jak długo panują tam obecne stosunki) ani emigrować poza Europę — w przeświadczeniu, że dla emigranta prawdopodobnie nigdzie nie będzie lepiej, a może być gorzej. Ci ostatni stanowią czołowe zagadnienie PKPR'u.

W prasie polskiej ukazały się serie artykułów ilustrujących „zagadnienie oficerskie" w P.K.P.R — zagadnienie, które zarysowuje się bardziej kontrastowo z dnia na dzień. Szeregowi odpływają masowo do zajęć cywilnych — oficerowie zjeżdżają masowo do obozów - magazynów jak Calveley. Wkrótce w PKPR przypadać będzie jeden oficer na jednego szeregowego.

Anglicy dzielą podobno oficerów polskich na cztery kategorie: 1. oficerowie, którzy odmawiają pracy ze względów zasadniczych. 2. niezdolni do pracy fizycznej z powodu wieku lub złego stanu zdrowia. 3. zdolni do pracy fizycznej, którzy jednak fizycznie pracować nie chcą. 4. zdolni do pracy fizycznej i chcący pracować fizycznie.

Pierwsza grupa stanowi nowy typ „opornych". Nie przypuszczam, aby była zbyt liczna. Dla drugiej grupy znajduje się podobno w opracowaniu projekt ustawy, przyznającej zaopatrzenie emerytalne. Oficerowie trzeciej grupy mieliby, według tych wiadomości, przeniesieni być na statut D.P. Czwarta grupa to ci, którzy decydując się na pozostanie w Anglii postanowili dostosować swą życiową postawę do obecnych wymagań angielskiego rynku pracy.

Brzmi to gładko, biurokratycznie i bezbarwnie, jak zdanie wyjęte z okólnika: „Dostosować postawę życiową do wymogów angielskiego rynku pracy". Zdanie to mieści w sobie cały dramat polskiego inteligenta na ziemi brytyjskiej.

Zagadnienie powikłane jest szeregiem nieporozumień, płynących zarówno z fałszywego pojmowania zadań emigracji, jak i znajomości Anglii i Anglików. Z jednej strony wypowiada się zdanie, że jesteśmy emigracją polityczną i skutkiem tego winniśmy przetrwać obecny okres dostosowując się do twardych warunków bytowania na obczyźnie. Z drugiej strony ogromny odłam inteligentów uważa pracę fizyczną za zejście w dół — mówiąc zaś ogólnie trzeba stwierdzić, że tylko praca fizyczna jest dla nas dostępna. Pogląd szerzony namiętnie przez pewne jednostki, a głoszący, że ci oficerowie, którzy podjęli się pracy fizycznej, są odszczepieńcami, bierze swe źródło w przekonaniu, że władze brytyjskie zaangażują polskich oficerów na stanowiska „inteligenckie" i kierownicze. Jest to pogląd całkowicie mylny i naiwny. Nadmiar inteligencji i związany z tym kryzys tej warstwy społecznej nie jest zjawiskiem tylko angielskim, lecz ogólno-europejskim. Inteligent angielski mimo, że znajduje się w stokroć lepszej sytuacji niż Polak, jest również dotknięty tym kryzysem. Dla polskiego inteligenta „przemienienie się" w angielskiego inteligenta jest rzeczą równie niemożliwą, jak i bezcelową.

Żołnierz polski, dzisiaj górnik w kopalni Pendlebury (Lancashire)

Pytanie zatem brzmi: Czy podejmując się pracy fizycznej inteligent polski istotnie się deklasuje — innymi słowy — czy przestaje być inteligentem, czy też nie ?

Osobiście jestem zdania, że deklasuje status dobrowolnego bezrobotnego, pobierającego łyżkę darmowej strawy i pięć szylingów wsparcia tygodniowego. W żadnym wypadku nie deklasuje praca i uczciwe zarobkowanie. Z punktu widzenia polskiej racji stanu wskazanym jest, żeby emigrant brał czynny udział w życiu gospodarczym Wielkiej Brytanii, słowem był czynnikiem twórczym, a nie pozycją martwą, z którą nikt się nie liczy.

Sprawa nie wyczerpuje się w ogólnikach i w szlachetnych wskazaniach. Nie mają racji ani ci, którzy nawołują: „Wszyscy do łopaty" — ani ci, którzy pracę fizyczną uważają za poniżenie. Konieczność zmiany, względnie konieczność czasowego odejścia od zawodu, jest zawsze czymś bolesnym, a często nawet tragicznym. Jest nonsensem dobudowywać do tego slogany, hasła i „ideologię". Gdy literat, czy lekarz idzie do fabryki sukna, czy kopalni, jest to smutna konieczność, na którą zdobywa się człowiek z charakterem, przywykły stawiać czoło każdej sytuacji. Jest to forma przetrwania,

(Dokończenie art. na str. 5-tej)

„Przeciw lewej i prawej reakcji"

W dwóch bardzo odległych od siebie punktach globu Amerykanie wystąpili z inicjatywą, która zasługuje na baczną uwagę.

W Grecji ambasador amerykański i szef wydziału środkowo-wschodniego Departamentu Stanu zażądali od ateńskich przywódców politycznych utworzenia rządu opartego o szeroką koalicję stronnictw. Grecy dali się namówić i trwający od kilkunastu lat spór między rojalistami i liberałami zakończył się utworzeniem rządu z premierem liberałem i wicepremierem rojalistą.

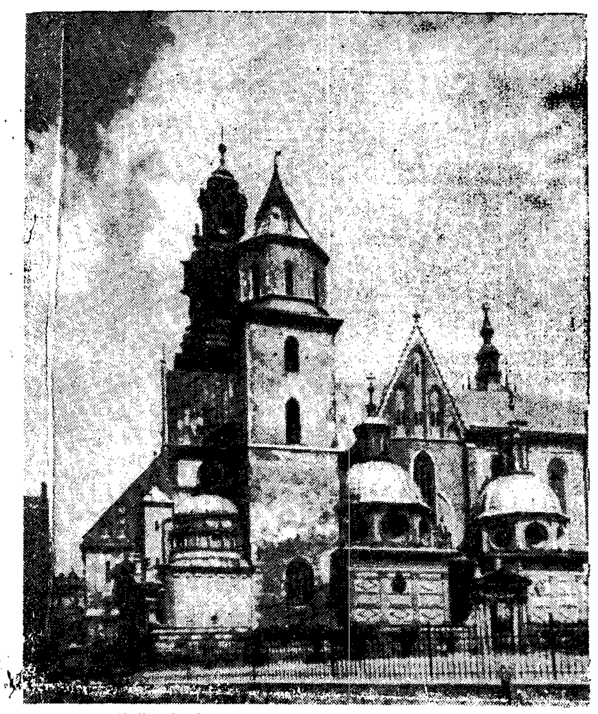

Królewska katedra na zamku wawelskim w Krakowie

Z podobną inicjatywą wystąpił na Dalekim Wschodzie specjalny wysłannik prezydenta Trumana przy rządzie nankińskim. Chińczycy muszą utworzyć rząd koalicyjny — oświadczył gen. Wedemeyer — a apel jego potępił zarówno „niekompetentnych i przekupnych ludzi, zajmujących wiele stanowisk w Nankinie", jak i komunistów, usiłujących przemocą narzucić swoją ideologię.

Dla podkreślenia powszechności tego rodzaju akcji amerykańskiej przypomnę jeszcze niedawną przebudowę republikańskiego „rządu" hiszpańskiego na emigracji. Pod wpływem amerykańskich rad nastąpiły w nim zmiany, gdyż uznano za konieczne usunięcie... komunistów.

Wszystkie te inicjatywy i naciski amerykańskie spotkały się z rozmaitymi zastrzeżeniami i protestami, wywołały wiele wątpliwości.

Oczywiście w pierwszym rzędzie protestuje Kreml i wszystkie jego agentury, nazywając akcję amerykańską mieszaniem się w wewnętrzne sprawy niezależnych narodów i podważaniem ich suwerenności.

W Chinach zaprotestowała przeciwko wystąpieniu Wedemeyera cała prawica chińska. Na łamach jej prasy ukazały się nawet ostre napaści na dalekowschodnią politykę Waszyngtonu.

Ale apel Wedemeyera wzbudził także pewne zaniepokojenie w szerokiej opinii światowej, która przypomniała sobie słynne naciski, wywierane na Dalekim Wschodzie przez ludzi rooseveltowskiego zespołu, dążących do podziału świata między Rosję i St. Zjednoczone. Czyżby nawrót do pomysłów rooseveltowskich kierowników międzynarodowego „Instytutu zagadnień Pacyfiku" i redaktorów „Pacific Affairs" i „Far Eastern Survey"?

Tego rodzaju obawy są dzisiaj bardzo mało uzasadnione, a tło obecnej inicjatywy amerykańskiej wskazuje, że wręcz przeciwne, niż w epoce rooseveltowskiej, przesłanki leżą u podstaw ostatniej działalności amerykańskich ambasadorów i dyplomatów. Nie mamy tu do czynienia tylko z manewrem dyplomatycznym. Jest to bardziej świadome niż kiedykolwiek dotąd urzeczywistnienie podstawowych założeń ideologicznych „amerykanizmu". I to nie tylko tych ujętych w ogólnych sformułowaniach Trumana i jego ministrów oraz w planie Marshalla. Wiążą się one ściśle z całą tradycją i filozofią amerykańską.

Niechętni Amerykanom odmawiają im zazwyczaj „głębi myślowej" i rozpatrując ich działalność przez pryzmat „biznesu" widzą jedynie dolary i bombę atomową jako wyłączne środki do opanowania świata przez imperializm amerykański. Błędne uproszczenie.

Krótka, w porównaniu z historią Europy i Azji, historia St. Zjednoczonych ma jednak zanotowane na swoich kartach walki i wojny o swoją i innych narodów wolność; ma wspaniały rozdział wielkiej domowej wojny ideologicznej. I ta młoda tradycja jest bardzo bliska współczesnym pokoleniom amerykańskim. Jej ciężar gatunkowy waży na psychice amerykańskiej w równym stopniu, jak i tradycja walk o wolność na psychice zachodnio-europejskiej. Trudno w rozważaniach na temat amerykańskiej ideologii przejść do porządku nad dziełem Lincolna i jego wpływem na kształtowanie się rozwoju St. Zjednoczonych. A wpływ ten nie streszcza się tylko w kulcie siły i złota — brzmi w nich nurt najszlachetniejszego idealizmu i miłości człowieka.

Nie bez wpływu na charakter społeczeństwa amerykańskiego pozostał fakt, że zakładali je i organizowali ludzie, którym czasy ich zgotowały taką samą dolę, jaka dzisiaj jest udziałem europejskich „dipisów".

Wędrowcy z Europy szukali schronienia przed terrorem krępującym swobodę myśli i czynu. Zapewne już oni rozumieli, że nie w spełnieniu skrajności jest szczęście ludzkości. I nie w bezwzględnym wyzysku słabszych, jak tego dowodzili niektórzy kolonialni wyzyskiwacze. Tej ostatniej prawdy nauczyło ich chociażby kosztowne doświadczenie amerykańskich kompanii naftowych w Meksyku. Zrozumieli wtedy, że nie można być obojętnym na stosunki społeczne i warunki życia narodu, którego gospodarcze zasoby chce się wykorzystać. Toteż dzisiaj, tam gdzie obok kapitału europejskiego kapitał amerykański korzysta z koncesji w krajach kolonialnych, różnica w zachowaniu się Amerykanów i Europejczyków w stosunku do miejscowej ludności wypada na korzyść tych pierwszych. I w tym leży siła rywalizacji amerykańskiej zarówno z bolszewizmem, jak i ze starym europejskim imperializmem kolonialnym.

Bomba atomowa wywołała w społeczeństwie amerykańskim, a zwłaszcza w jego przodujących warstwach intelektualnych, głęboki wstrząs myślowy. Dla bacznego obserwatora życia amerykańskiego nie ulega dziś wątpliwości, że wyzwolenie przez człowieka energii atomowej wzbudziło o wiele głębsze poruszenie w kulturalnym świecie amerykańskim i postawiło przed nim znacznie więcej doniosłych zagadnień życiowych i naukowych aniżeli na kontynencie europejskim. Amerykańscy myśliciele postawili przed sobą ambitne zadanie zespolenia filozofii z życiem.

Czołowy pragmatysta amerykański, John Dewey, wychodzi z założenia, że „różnice istniejące dzisiaj między filozofiami i filozofami, okazują się jedynie intelektualną formą tych zatargów i sprzeczności, które rozdzielają ludzkość". I dochodzi do wniosku, iż „filozofia naszych dni nie może pragnąć dla siebie lepszej roli, niż roli akuszerki, którym to mianem określił ją lat temu 2500 Sokrates". Innymi słowy ambicją Dewey'a jest znalezienie filozoficznej recepty dla „dojrzałej społecznej przebudowy". Trzeba więc albo pogodzić materializm z idealizmem, albo też obalić jeden i drugi.

W praktycznym życiu Dewey widzi to przezwyciężenie skrajności materializmu i idealizmu w likwidacji najbardziej reakcyjnych i niesprawiedliwych instytucji społecznych. Wall Street z jej praktykami wielkokapitalistycznymi, tak jak i Rosja pozostają pod równie mocnym obstrzałem krytyki wybitnego pragmatysty. Znamiennym jest, że krytyka ta obejmuje nie tylko Rosję bolszewicką, ale i całą historię rosyjską. „W Rosji — pisze Dewey — w ciągu całych jej dziejów nie było demokratycznych tradycji" i wskutek tego „przywykła ona do despotycznego rządu, który jest tak obcy duchowi zachodnich państw".

Głosząc potrzebę społecznych przemian, filozof amerykański potępia rewolucję i walkę klas, unika jednak szablonowego określenia, na czym polega demokracja. Przeciwnie, z całą szczerością oświadcza:

„Nie wiem dokładnie, co w obecnych czasach przedstawia sobą demokracja w każdej z konkretnych dziedzin ludzkiego życia: politycznej, ekonomicznej, kulturalnej, religijnej. Składam to wstydliwe wyznanie z tym większą gotowością — pisze Dewey — że jak podejrzewam nikt inny też tego nie wie dokładnie".

Sądząc z innych wywodów książki Dewey'a „Problem of Man" widzi on praktyczną stronę swojej pragmatyczno - demokratycznej filozofii w ustawodawczej zachęcie do czynnego rozstrzygania codziennych trudności, w wojującej jej postawie a nie w odwracaniu się od zawiłych zagadnień życia.

Zatrzymałem się dłużej nad niektórymi sformułowaniami Dewey'a, gdyż wykazują one, że polityczne wypowiedzi kierowników polityki amerykańskiej nie bardzo odbiegają od założeń tej filozofii. Walka ze skrajnościami społecznymi zarówno po prawej jak i po lewej stronie: walka z faszyzmem wszelkich kolorów.

Mylą się ci, którzy sądzą, że wysunięcie się Ameryki na czoło polityki światowej oznaczałoby zwycięstwo pr[illegible]. Zarówno republikanie jak i prawi demokraci są dalecy od takich planów i pomysłów. To bowiem, co pisze w swym dziele filozoficznym Dewey, jest charakterystycznym sposobem myślenia i przeciętnego Amerykanina.

Stany Zjednoczone stają się dzisiaj w większym niż niejedno państwo europejskie stopniu ośrodkiem czynnej walki o wyzwolenie człowieka z okropności, jakie ściągają na ludzkość rozmaici prorocy, nawołujący do „stuprocentowych rozwiązań ideologicznych".

Nie piszemy tych uwag celem wzbudzenia jakiegoś bezkrytycznego entuzjazmu dla St. Zjednoczonych oraz ich polityki. Ocena sytuacji międzynarodowej i wysnuwanie z niej odpowiednich wniosków nie mogą być oparte na sympatiach czy antypatiach, na optymizmie czy też pesymizmie. Trzeba jednak umieć odróżniać światła od cieni i nie ulegać uprzedzeniom. Dopiero wtedy można uniknąć przykrych niespodzianek.

ST. STARZEWSKI

Wyroki śmierci w Krakowie

(r) Potworny wynik „procesu" krakowskiego nie zdziwi nikogo, kto nie miał złudzeń co do ogólnego rozwoju stosunków w Polsce. Tylko ludzie naiwni lub biorący własne życzenia za rzeczywistość mogli oczekiwać stopniowego rozluźniania terroru w Polsce i nawrotu do wolności osobistej oraz politycznej. Wręcz przeciwnie. W logice systemu obowiązującego w Polsce jest zacieśnianie terroru, jest coraz uporczywsze dławienie wszelkich przejawów niezależności.

Sam przebieg „procesu" jest właściwie obojętny. Oskarżeni i świadkowie w „procesach" prowadzonych na modłę sowiecką, zeznają na ogół to, czego sobie życzy prokurator i dobrani „sędziowie". Istnieje przecież drobiazgowa, naukowymi metodami ustalona metoda takiego przygotowania do zeznań oskarżonego, by przed kompletem „sędziowskim" mówił już jak automat, poza własną świadomością, poza własną wolą. Premier węgierski Nagy we wspomnieniach ogłoszonych właśnie na łamach amerykańskiego tygodnika „The Saturday Evening Post" i w londyńskim „Daily Telegraph" przypomniał raz jeszcze szatańskie metody „śledztwa" sowieckiego, które czynią z oskarżonego istotę bezwolną i zatracającą nawet poczucie własnej osobowości. Trzeba przyznać, że w stosunku do oskarżonych w Krakowie metoda ta nie zawsze dała pożądany przez prokuratora wynik.

Procesy sowieckie stają się w tych warunkach zjawiskami czysto politycznymi, a nie prawnymi. Służą nie sprawiedliwości, ale wyłącznie celom politycznym rządzącej grupy.

Jakim celom służył proces krakowski? Było ich, z grubsza biorąc, trzy:

1) Przygotowanie do ostatecznego zniszczenia P.S.L. Był to cel najbardziej bezpośredni. Proces krakowski stanowi dalszy krok w kierunku zdławienia opozycji P.S.L. Dążenia tego nie zahamują już daremne uchwały jej władz naczelnych oraz artykuły „Gazety Ludowej", usprawiedliwiające się wobec reżimu.

2) Zaostrzenie terroru w stosunku do ogółu ludności. Proces miał uświadomić społeczeństwo, że nie wolno mu „grzeszyć" wobec systemu nie tylko czynami, nie tylko myślą, ale nawet takimi uczynkami, które mogłyby wskazywać, że dana jednostka w innych okolicznościach pomyśli „źle". Takie potworne stawianie sprawy jest zresztą zgodne z podstawowymi założeniami „sprawiedliwości sowieckiej". W systemie tym bowiem najniewinniejszy gest lub brak gestu oczekiwanego, np. brak niepochlebnego w rozmowie wyrażenia się o Andersie, może służyć za dowód przestępstwa, zdrady, faszyzmu, reakcji, itp. Jest to zresztą wypróbowany sposób na wytwarzanie bezwzględnego terroru psychicznego oraz na przygotowanie gruntu dla zupełnej samowoli dyktatorsko - totalistycznej.

3) Proces był związany z zaostrzeniem się położenia międzynarodowego. Stąd nagromadzenie oskarżeń na temat „szpiegostwa", „konspiracji", „walki podziemnej", wysługiwania się „obcym ambasadorom", brania „dolarów" zza granicy, wypełniania rozkazów „Londynu" itd. Proces miał na celu utożsamienie działalności opozycyjnej z działalnością szpiegowską, wykazanie, że tylko „zdrajcy", względnie ludzie „opłacani" przez Londyn czy Waszyngton mogą być w opozycji. W ten sposób cała walka o wolność w czasie wojny z Niemcami, obecne zmagania się narodu o odzyskanie niezależności sprowadzają się do działania „obcej agentury". Nikogo nie zdziwi, że wszystkie te oskarżenia i zarzuty wychodzą od wychowanków Moskwy, którzy tylko dzięki jej poparciu mogą w kraju panować.

Wynik procesu ma ułatwić w razie potrzeby szybkie rozprawienie się z wszelkimi niewygodnymi czynnikami i osobami w Kraju jako ze „szpiegami", czy „obcymi agentami", którymi rzekomo kraj jest omotany. Stanie się to wtedy, gdy położenie międzynarodowe wymagać będzie ostatecznego „oczyszczenia przedpola".

To są wnioski polityczne, które nasuwa „proces". O jego stronie moralnej pisać nie potrzeba. Trzeba tylko ją zapamiętać nie tracąc wiary w powrót na ziemię polską prawdziwej sprawiedliwości, która potrafi odszukać istotnych zdrajców i najemników.

Sowiecka walka z chłopem

Książka Zdzisława Miłoszewskiego o „Kolektywizacji wsi sowieckiej*), traktuje o przemianach gospodarczych w Rosji od chwili rewolucji październikowej 1917 roku aż do czasów obecnych. Autor dzieli cały ten okres na trzy etapy. Pierwszy od 1917 do 1921 roku — to przejmowanie ziemi obszarniczej przez chłopów w myśl rzuconego hasła „grab nagrablennoje". Okres drugi, od 1921 do 1928 roku — okres NEP-u, stabilizacji władania ziemią przez „homo economicus" i świetności rozwoju produkcji rolnej na indywidualnych gospodarstwach chłopskich. Wreszcie ostatni etap — od roku 1928 do chwili bieżącej — to ustrój kolektywny jako „fabryka ziarna", to krwawa i zawzięta walka, w której chłop zostaje zepchnięty z podmiotu produkcji do zwyczajnego robotnika przywiązanego do ziemi, „glebae adscriptus", tak samo jak za okresu pańszczyzny. Walka nie skończyła się jeszcze, gdyż chłop, mimo skrępowania jego swobody ruchu, posiada na ogół do 1 ha ziemi przy kolektywie, na której gospodaruje według swojej woli.

Praca oparta jest o źródła sowieckie i stanowi pierwsze porównawcze zestawienie produkcji i spożycia Rosji carskiej i Rosji sowieckiej z okresu NEP i z czasów wsi skolektywizowanej. Autor przedstawia w sposób plastyczny dolę 117 milionów chłopów w ustroju kolektywnym i ich walkę o życie jako ciągłe żonglowanie między przepisami prawa i zwykłym oszustwem lub złodziejstwem, do którego — w praktyce — to samo prawo ich zmusza.

Książka zasługuje na uwagę jeszcze z innych względów. Daje bowiem możność zrozumienia, dlaczego to różnego rodzają Komitety Wyzwolenia Narodowego w krajach Międzymorza tak szybko i tak zdecydowanie przeprowadziły reformę rolną w kierunku rozdrobnienia ziemi ,bez zastanowienia się, czy to posunięcie przyniesie korzyści gospodarcze samej wsi, a przede wszystkim państwu. Dlaczego to władze sowieckie w swojej prasie i w radio tak zdecydowanie i wymownie reklamują przeprowadzenie reformy rolnej w Europie środkowowschodniej.

Chłop sowiecki słucha, czyta i nadziwić się nie może, że jego rząd popiera obdzielenie ziemią cudzych chłopów, a własnych gnębi i zdecydowanie odbiera ziemię na rzecz kolektywu. Chłop sowiecki pyta ze zdziwieniem, dlaczego to w krajach burżuazji „zgniłego Zachodu", rząd radziecki uważa własność chłopską za świętość, dlaczego to władanie indywidualne stanowi tam błogosławiony ustrój — podczas gdy w jego kraju za pragnienie posiadania ziemi idzie się pod sąd na równi ze zwykłymi kryminalistami lub sabotażnikami.

Na razie Rosja nie jest w stanie zastosować radykalnych pociągnięć, sprzecznych z pragnieniem chłopa na Międzymorzu, ze względu na jego świadomość społeczną, poziom rozwoju obywatelskiego i wyrobienie polityczne.

W Europie środkowo - wschodniej chłopi wytworzyli głęboki nurt swego życia. Istnieją tam zorganizowane partie które zawsze gotowe są objąć władzę w państwie, istnieją potężne organizacje młodzieży chłopskiej, którym równych nie ma w żadnej innej części świata. Istnieją dalej masowe organizacje rolnicze, koła gospodyń, sieć spółdzielni, a nawet w wielu krajach duże wpływy mają uniwersytety wiejskie. Chłop w tej części Europy jest pełnowartościowym obywatelem, zdolnym do roli gospodarza we własnym państwie. Dlatego też trzeba najpierw tego chłopa złamać politycznie, zniszczyć jego samorodne organizacje, złupić go gospodarczo i wpędzić w nędzę — a wtedy można przejść do ostatniego etapu przemian ustroju rolnego.

Dopóki istnieje zorganizowana siła na wsi, póki żyje samorodny ruch chłopski we wszystkich swoich przejawach — dopóty prawie niemożliwe jest przestawienie wsi z gospodarki indywidualnej na gospodarkę kolektywną.

Na podstawie tej książki jasnym będzie plan Sowietów zniszczenia niezależnych partii chłopskich, zrozumiałe będą procesy Petkowa w Bułgarii, Maniu i Mihalahe w Rumunii, niszczenie PSL i tępienie Mikołajczyka w Polsce, rozbicie Partii Drobnych Posiadaczy na Węgrzech i ucieczka premiera Nagy. Inaczej natomiast postępuje się w Jugosławii gdzie przodownicy trójnarodowej wsi wytępili się wcześniej w walkach bratobójczych i Tito mający oczyszczone pole nie potrzebował się liczyć z zorganizowanym oporem.

Obecnie czyni się kroki wstępne do przejścia na system komunistyczny zarówno w mieście jak i na wsi. Zaprowadza się — np. w Polsce — „rady narodowe", policje bezpieczeństwa, wiejskie komitety PPR, związki Samopomocy Chłopskiej, popiera się rozbijacki ruch partyjny, podporządkowuje się dyrektywom PPR ruch młodzieży wiejskiej, likwiduje się izby rolnicze, ogranicza się spółdzielczość „Społem" — słowem niszczy się to wszystko, co stanowi samorodny ruch chłopski. **Wbrew wszelkim złudzeniom, Rosja nie traktuje krajów Międzymorza jako swojej strefy wpływów, ale stopniowo przystosowuje ten obszar do wchłonięcia w ramy Związku Radzieckiego.**

Znajomość etapów reform ustroju rolnego Rosji, gdzie chłop nie posiadał przecież prawie żadnej organizacji ani też nie miał przygotowania do sięgania po władzę w państwie — pozwala przewidzieć plany sowieckie odnośnie Międzymorza w zastosowaniu okresu przejściowego między podziałem folwarków i likwidacją obszarników, a zaprowadzeniem kolektywów, w którym to etapie niszczony będzie chłop-kułak, ostatnia ostoja ustroju kapitalistycznego. Rozdrobniono ziemię na gospodarstwa karłowate, niezdolne do życia samodzielnego, ani nie mogące podołać ciężarom nakładanym przez państwo dla odbudowy miast i utrzymania zbyt licznej biurokracji partyjnej. Tą drogą wykaże się chłopom, że w pojedynkę nie są zdolni do wyżywienia rodziny, a miastom przedstawi się chłopa — paskarza, który nie chce lub nie potrafi wyżywić państwa ludowego, z winy którego robotnik głoduje, a państwo nie może realizować swych „wzniosłych planów odbudowy miast".

Wszystko to nastąpi w okresie ostatnim, kiedy władza polityczna i bezpieczeństwo na Międzymorzu będzie już w rękach komunistów, a zglajszachtowane parlamenty, wzorem Litwy, Łotwy i Estonii, również z własnej i nieprzymuszonej woli zwrócą się do Moskwy z prośbą o przyjęcie ich krajów do rodziny narodów radzieckich.

Jeśli nie nastąpi jakiś przewrót w sytuacji międzynarodowej, jeśli Rosja nie będzie zmuszona wycofać się z krajów Międzymorza — to mimo zdecydowanego oporu, krwawej i kosztownej walki, chłopi w tych krajach popadną w niewolę podobną do tej w jakiej znajduje się chłop w Sowietach, którego koleje losu opisuje w swej książce Zdzisław Miłoszewski.

Stanisław Gierat

*) „Kolektywizacja wsi sowieckiej" ZDZISŁAWA MIŁOSZEWSKIEGO, wydana w Jerozolimie w 1947 roku, nakładem własnym autora, stron 245.

Blaski i cienie Francji

Paryż, we wrześniu

We Francji, jak w żadnym innym może kraju widowiskowy charakter zjawisk politycznych przesłania częstokroć istotne procesy jakie się w tym kraju odbywają. Zniekształca to niekiedy właściwy pogląd na sprawy.

Dość często wypowiadane zdanie, iż Francja utraciła swe znaczenie polityczne, że od 1919 znajduje się na równi pochyłej upadku, wpływów i znaczenia Europy, że coraz bardziej przestaje być samodzielnym czynnikiem w polityce — są częściowo tylko słuszne. Oczywiste, jeśli weźmiemy wskaźnik ludnościowy, wskaźnik wytwórczości przemysłowej i rolnej, skalę wymiany handlowej z zagranicą, to niewątpliwie będziemy mogli zauważyć poważne cofanie się Francji, nie tylko od 1914, ale wręcz od epoki Traktatu Wiedeńskiego.

Od tej daty skończyła się niewątpliwie rola Francji jako pierwszego mocarstwa w Europie.

Ale niepokojące dla Francuzów procesy cofania się bynajmniej nie umniejszają wagi tego, co się we Francji dzieje. Szczęśliwa geopolityczna sytuacja Francji wpływa na to, że nawet Francja osłabiona i niezdolna w perspektywie paru lat przynajmniej do samodzielnej odbudowy gospodarczej, jest czynnikiem zarówno w polityce europejskiej, jak i w skali światowej, niezbędnie potrzebnym. Co więcej, tak jak w skali ogólno światowej załamanie się Imperium Brytyjskiego spowodowałoby nieobliczalne następstwa, tak i na mniejszą nieco miarę ewentualny zanik imperium kolonialnego francuskiego spotęgowałby niebezpieczny chaos światowy. Utrzymanie tego imperium jest więc w interesie wszystkich czynników ładu w świecie, za wyjątkiem Rosji Sowieckiej.

PORAŻKI POLITYCZNE KOMUNISTÓW

Stąd możnaby czerpać optymistyczny wniosek, że Francja niedostatecznie produkująca, niedostatecznie wywożąca, a spożywająca zbyt dużo, będzie mogła swoje trudności przezwyciężyć. Wniosek ten wydawałby się tym bardziej słuszny, że jak pisaliśmy w poprzednich naszych korespondencjach, utwierdzanie się czynników antykomunistycznych, dążących do wzmocnienia państwa i przywrócenia krajowi równowagi gospodarczej i społecznej zrobiło widoczne, choć niedostateczne postępy, a partia komunistyczna od maja roku zeszłego poniosła szereg dotkliwych porażek politycznych.

Utwierdzanie to odbywa się wśród olbrzymich trudności — obiektywnych, jak zniszczenia wojenne, rozkręcone w okresie wojny dążenia odśrodkowe narodów kolonialnych, istnienie bardzo silnej już przed wojną agentury komunistycznej, zmęczenie biologiczne narodu francuskiego, który jest „najstarszym" społeczeństwem Europy — z punktu widzenia przeciętnego wieku obywateli — w porównaniu z innymi narodami kontynentu.

Trudności te pogłębione są czynnikami specyficznie francuskimi. Indywidualizm i doktrynerstwo Francuzów bardzo niechętnie dostosowuje się do zmiennych warunków. Zarówno robotnicy francuscy, jak i urzędnicy, przeważnie zatrudnieni w nadmiernej liczbie, nie chcą dostosować się do niskiej stopy życiowej, a jednocześnie zgodzić się na podniesienie wydajności pracy i liczby godzin zatrudnienia. Politycy francuscy w dwóch pierwszych Konstytuantach wykazali, że mimo zmienionych warunków wyznaczających inną rolę państwu, wikłających jego działalność i rozszerzających zakres tej działalności nie chcą czy nie mogą zdecydować się na przebudowę ustroju. Poszli oni po linii nadania Konstytucji, która utrzymała wszechwładzę Parlamentu, czyli praktycznego kierownictwa sprawami państwa przez ciało zbiorowe, liczące coś około 620 głów.

Przy niesprawności administracji francuskiej, nadmiernie scentralizowanej i powolnej, przy małym doświadczeniu parlamentarnym nowej ekipy, która doszła do władzy po usunięciu Niemców z Francji rola rządu francuskiego, utrudniona nadmiar spotęgowaną do niebywałych przedtem rozmiarów rolą związków zawodowych z CGT na czele, jest rzeczywiście nie do pozazdroszczenia. W warunkach nadmiernego zapału ustawodawczego, istotnej zresztą konieczności załatwienia szeregu palących spraw, a w szczególności nowej organizacji Imperium francuskiego (które obecnie nosi nazwę Unii Francuskiej), parlament francuski obraduje obecnie nie tylko stale, ale uczynił z posiedzeń nocnych stały niemal zwyczaj.

Wprawdzie rząd nie jest obecnie do tego stopnia zagrożony niespodziewanym votum nieufności, jak to było w okresie III Republiki. Powstanie bowiem w wyniku ostatniej wojny skonsolidowanych partii politycznych, w przeciwieństwie do chaosu grup i frakcji parlamentarnych w III Republice, usunęło w pewnym stopniu „kaskady" przesileń gabinetowych.

Ta w istocie rzeczy dodatnia zmiana tylko w pewnej mierze ułatwia życie gabinetu, nie ochraniając go jednak zupełnie od pojawiających się zagrożeń, jak tego dowodzą niedawne wypadki. Środek ciężkości sporów politycznych przesunął się jednak z parlamentu na rząd. Ministrowie z poczuwających się do solidarności członków gabinetu, jak to było w okresie III Republiki, stali się mandatariuszami swoich stronnictw, a rząd był wobec tego czymś w rodzaju konwentu seniorów rozważającego i uzgadniającego między sobą sprzeczne punkty widzenia. Zwłaszcza dopóki w rządzie zasiadali sabotujący politykę własnego gabinetu komuniści, rada ministrów zmuszona była do wysłuchiwania godzinnych deklaracji Thoreza czy innego „agenta obcego nacjonalizmu". Wyrzucenie komunistów z rządu naprawiło ten stan rzeczy, ale nie usunęło całkowicie tarć i ogromnych trudności, wynikających z nowego układu rzeczy.

W tych warunkach wykonanie najbardziej zasadniczej czynności rządzenia, tj. ułożenia preliminarza budżetowego przedkładanego przez rząd, a uchwalonego przez parlament okazało się, jak dotąd, zadaniem niewykonalnym. Francuski rok budżetowy zaczyna się 1 października, a obecnie, mimo, że parlament w tym roku nie miał niemal wakacji, „jedzie się" jeszcze nadal prowizoriami miesięcznymi, co czyni niemożliwe istotnie planowe wykonanie francuskiej czterolatki znanej pod nazwą „planu Moneta".

Czy Francja potrafi przezwyciężyć te wszystkie trudności chociażby w dziedzinie konstytucyjnej?

PREMIER RAMADIER

Gen. de Gaulle uczynił z młodej, bo uchwalonej we wrześniu 1946 r. konstytucji IV. Republiki, centralny punkt ataku i najważniejszą podstawę swojego programu RPF (Rassemblement du Peuple Français). Pierwszym [illegible] naprawy istniejącego stanu, jego [illegible] jest rewizja uchwalonej konstytucji. [illegible] się jednocześnie koncepcja [illegible] konstytucji IV Republiki. Zarówno [illegible], a zwłaszcza odłam umiarkowany [illegible] chrześcijańsko-społeczne MRP [illegible] praktyka stosowania konstytucji IV Republiki powinna usuwać istniejące [illegible] przez rozszerzoną interpretację i [illegible] w wykonywaniu szeregu [illegible]. Dość niespodziewanie może dla twórców samej konstytucji, rola premiera wyrosła nie tylko do pierwszej postaci politycznej w państwie, ale nawet do wymiarów arbitra mogącego zmieniać skład rządu, któremu przewodniczy, chyba że parlament ex post uchwali mu votum nieufności. Ale i uchwała votum nieufności utrudniona jest w stosunku do konstytucji 1875 roku przepisem, iż głosowanie nad votum nieufności może być przeprowadzone dopiero w 24 godziny po zgłoszeniu wniosku.

Precedens konstytucyjny, przy którego pomocy premier Ramadier usunął z rządu czterech ministrów komunistycznych, którzy głosowali przeciw linii obranej przez większość członków gabinetu, wzmacnia pozycję ciała wykonawczego w stosunku do parlamentu, stanowiąc ową „poprawkę" do istniejącej konstytucji, zastosowaną w wyniku interpretacji przepisów Konstytucji z 26 września 1946.

Trudno może wyprzedzać wypadki, ale kilkomiesięczna obserwacja premiera Ramadiera, zewnętrznie mało efektownego, dość przeciętnego jako mówcy, nie dającego się nigdy wyprowadzić z równowagi, zdumiewającego swoim spokojnym uporem i uderzającego zmysłem realizmu i niesłychaną wytrwałością fizyczną, mógłby doprowadzić do wniosku, iż Francja w ciężkiej chwili znów znalazła człowieka opatrznościowego w demokratycznym rozumieniu tego słowa — takiego jakim był w groźnych latach wojennych Clemenceau, a w okresie rozgardiaszu finansowego Raymond Poincaré.

Z obfitości wydarzeń politycznych, których areną była Francja w ostatnich kilku miesiącach, zanotujmy na razie rzeczy najważniejsze. Należą do nich wypadki w Indochinach, które doprowadziły do buntu całej prowincji Viet Namu przeciwko Francji, ujawniając konieczność głębokich reform w tej jednej z najdalszych i najbogatszych kolonii francuskich. Regularne działania wojenne w tej prowincji, pochłonęły ogromne sumy dla i tak deficytowego budżetu francuskiego (w okresie pełni działań wojennych koszt dzienny wojny z Viet Namem wynosił koło 120 milionów). Wskaźnikiem niepokoju narodów kolonialnych były wypadki na Madagaskarze. Ujawniły one nie tyle ruch mas kolonialnych, ile spisek uprzywilejowanej elity tubylczej, która postawiła sobie za zadanie oderwanie Madagaskaru od Francji. Aresztowanie 5 posłów tej wyspy i stłumienie siłą buntów nie rozwiązało oczywiście zagadnienia, z którym polityka francuska będzie miała jeszcze niejedną trudność.

Wreszcie sprawa Algeru wysunęła się ostatnio jako jedno z najpoważniejszych zagadnień polityki francuskiej. Skomplikowana rozgrywka wewnętrzno-partyjna, która się rozegrała dokoła tego zagadnienia, wykorzystywana jest przez miejscowe czynniki muzułmańskie w kierunku możliwie daleko idącego upodobnienia ustroju Algeru do pierwowzoru tj. konstytucji parlamentarnej metropolii.

Założenie jest proste. Należy dać możliwie daleko idące uprawnienia parlamentowi miejscowemu, a kwestia majoryzowania miliona Francuzów przez niemal 8-milionową ludność muzułmańską nie będzie już trudna. Stąd wysiłki posłów muzułmańskich popierane przez komunistów do jaknajwiększego ograniczenia zasady systemu kurialnego i wprowadzenia do reprezentacji miejscowej ludności francuskiej elementu muzułmańskiego, możliwie powszechnego przyznania praw wyborczych kobietom muzułmańskim i walka z zasadą kwalifikowania większości (w projekcie rządowym ministra spraw wewnętrznych Depreux większość 2/3) dla ważności uchwał parlamentu algerskiego w sprawach budżetowych i finansowych.

ZMIANY POLITYKI ZAGRANICZNEJ

W przeglądzie tych najważniejszych spraw trudno jest nie wspomnieć o zasadniczej zmianie, jakiej uległa polityka ministra Bidault w ostatnich miesiącach. Punktem przełomowym był okres trwający niemal 6 tygodni konferencji moskiewskiej z marca i kwietnia br., gdzie minister Bidault przekonał się, że Francja jest zbyt słaba, aby utrzymać się w roli pomostu czy pośrednika między blokiem anglosaskim i Rosją, i że nie może zupełnie liczyć na jakąkolwiek wspólną politykę z Rosją w zagadnieniu niemieckim. Od tej chwili minister Bidault stopniowo, ale konsekwentnie skierował politykę francuską na drogę współpracy z blokiem anglosaskim, podkreślając to coraz zdecydowaniej, zwłaszcza od rozpoczęcia dyskusji międzynarodowych nad tzw. planem Marshalla.

Punkt ten wymaga obszernego omówienia. Zanotujmy jednak dwa momenty charakterystyczne: Pierwsze to, że komuniści w tak zasadniczej dla ich polityki sprawie niesłychanie słabo atakowali pozycje rządowe. Nie wskazuje to wcale na ich umiarkowanie; przeciwnie, ich zależność od polityki moskiewskiej, jak to wykazał ich stosunek do planu Marshalla, uwydatnia się jeszcze bardziej, niż np. zależność „bratniej" partii komunistycznej włoskiej i jej szefa p. Togliatiego. Powściągliwość tę należy tłumaczyć zupełnie inaczej.

Polityka Moskwy, jej stosunek do zagadnienia niemieckiego, jej polityka wobec planu Marshalla, stają się tak niepopularne we Francji, że komuniści nie mogli, mimo wszystko, zdecydować się na rozpoczęcie rozgrywki z rządem na płaszczyźnie jego nowego kursu w polityce zagranicznej.

Wreszcie ostatnim zagadnieniem była fala strajków, która przeszła przez Francję, zwłaszcza w końcu maja, w czerwcu i na początku lipca br. Czytelnicy „Orła Białego" znają przebieg tych strajków i ich wynik, który przyniósł na ogół nominalną ale nieistotną z punktu widzenia poprawy bytu pracowniczego podwyżkę 12 do 20%, zrównoważoną niemal całkowicie przez trwającą od maja bez przerwy zwyżkę cen.

Z rozgrywki strajkowej można wysunąć jednak dwa wnioski. Pierwszy, że partia komunistyczna jest na najlepszej drodze utraty najpoważniejszego swego narzędzia nacisku w walce z „reakcyjnym rządem": broni strajku, a w ostatecznym wypadku broni strajku generalnego.

Przebieg „kampanii letniej" wykazał, iż komuniści nie byli zdolni nawet do zapanowania nad sytuacją strajkową w poszczególnych gałęziach przemysłu. Mniej liczne od nich, ale ruchliwsze elementy anarcho-syndykalne, a w niektórych wypadkach lewo-socjalistyczne lub trockistowskie wykazały o wiele lepszą strategię strajkową, a komuniści zmuszeni byli do przyłączenia się do rozpoczętego już strajku. Nawet w wypadku strajku kolejowego, który jako broń polityczna ma oczywiście najistotniejsze może znaczenie, komuniści dalecy byli nie tylko od możliwości wywołania strajku jednocześnie w rozmaitych punktach kraju, ale także okazali się bezsilni, gdy chodziło o hasło zakończenia strajku, w chwili która kierownictwu partii najbardziej odpowiadała.

Obok sprawdzianu wyborczego, tzn. stałych porażek komunistów przy rozmaitych wyborach, od Związku Kas Chorych zaczynając, a na wyborach do Rad Generalnych skończywszy, jest to więc drugi sprawdzian upadku wpływów komunistycznych.

W sezon polityczny 1947/48 nacechowany szybko wzrastającym napięciem między narodowym wchodzi więc Francja wprawdzie pod znakiem wzrastających trudności finansowych, deficytu budżetowego i handlowego, zwiększonego katastrofalnym prawie nieurodzajem, ale jednocześnie w warunkach jakgdyby stopniowo zarysowującej się poprawy sytuacji wewnętrzno-politycznej i pod znakiem rozwijającej się współpracy z blokiem anglosaskim, która może być decydująca dla wepchnięcia odbudowy gospodarczej kraju na realne tory.

Zastępca

ZA SŁABY WYBUCH

Angielskie władze okupacyjne postanowiły wysadzić w powietrze największy przeciwbombowy schron niemiecki na terenie berlińskiego Zoo.

U góry: chwila eksplozji 50.000 funtów materiału wybuchowego
U dołu: niemiecki bunkier w kilka godzin po próbie zniszczenia

Protest Czeskiego Komitetu Narodowego w Londynie

(o) Od Czeskiego Komitetu Narodowego w Londynie otrzymaliśmy następujące oświadczenie złożone brytyjskiemu min. spraw zagranicznych E. Bevinowi. Pełny tekst tego oświadczenia podajemy poniżej we własnym tłumaczeniu z angielskiego:

Londyn, 17 lipca 1947 r.

Szanowny Panie,

My, niżej podpisani, w imieniu i z ramienia Czeskiego Komitetu Narodowego w Londynie uroczyście protestujemy przeciwko nowemu pogwałceniu wolności i prawa do samostanowienia o sobie narodu czeskiego przez obecny rząd czechosłowacki opanowany przez komunistów i podporządkowany Związkowi Sowieckiemu.

Już na jesieni 1943 roku żywiliśmy głębokie przekonanie, że polityka prezydenta Pierwszej Czechosłowackiej Republiki dr Edwarda Benesza, który ustąpił ze swego urzędu, oraz jego rządu w Londynie podczas wojny, która doprowadziła do zawarcia „Traktatu o przyjaźni, wzajemnej pomocy i powojennej współpracy pomiędzy ZSRR i Republiką Czechosłowacką" w dniu 12 grudnia 1943 r. w Moskwie spowoduje ostatecznie tylko całkowite podporządkowanie się Pragi Moskwie, a w następstwie narodu czeskiego — partii komunistycznej.

W roku 1939 postanowiliśmy opuścić swój kraj i udać się za granicę, aby walczyć przeciwko niemieckim narodowym socjalistom, którzy pogwałcili wolność i prawo do samostanowienia o sobie narodu czeskiego w roku 1939 i od początku wojny pchali go przeciw zachodnim mocarstwom demokratycznym. W roku 1942 stało się dla nas oczywistym, że polityka urzędowo uznanego rządu czechosłowackiego w Londynie sprawi, że w przyszłości Czechy staną wobec takiej samej groźby ze strony totalistycznych dyktatorów Wschodu.

My, niżej podpisani, jako urzędujący członkowie jedynej niezależnej czeskiej organizacji politycznej wówczas istniejącej w Zjednoczonym Królestwie — Czeski Narodowy Związek w Londynie — wystosowaliśmy wtedy otwarty list datowany z dnia 20 stycznia 1944 r. do Wielce Czcigodnego p. Anthony Edena, P.C., M.C., M.P, Sekretarza Stanu dla Spraw Zagranicznych J.K.M. W liście tym ogłosiliśmy, że wyżej wspomniany traktat jest nieważny i nie wiąże w jakikolwiek sposób narodu czeskiego, przedłożyliśmy jednocześnie szczegółowe powody tej odmowy uznania.

Dnia 16 maja 1945 r. Czeski Komitet Narodowy w Londynie znów zwrócił się z memoriałem do Wielce Szanownego p. Anthony Edena, będącego wówczas wciąż Sekretarzem dla Spraw Zagranicznych J.K.M. Podając streszczenie wydarzeń w Pradze 12 maja 1945 r., stwierdziliśmy, że prawie cały obszar Czech był zalany przez armie sowieckie, pod których ochroną przybył natychmiast samozwańczy Prezydent Republiki Czechosłowackiej dr Edward Benesz i jego rząd utworzony w Moskwie oraz zaczął rządzić krajem na sposób samowolny i dyktatorski.

W memoriale tym doszliśmy do wniosku, że naród czeski został w ten sposób znów pozbawiony wszelkiej możliwości wyrażenia swej wolnej woli i wykonywania prawa do samostanowienia o sobie.

My, niżej podpisani, uważamy teraz za swój obowiązek stwierdzić, że te warunki dotyczące położenia politycznego w Republice Czechosłowackiej pozostały dziś prawie bez zmian od tamtych czasów. Nic nie uległo zmianie, nawet przez wybory Zgromadzenia Narodowego, odbyte na wiosnę 1946 r. Nie były one — rzecz oczywista — wyborami wolnymi w rozumieniu zachodnich demokracji. Na obszarze Czech były tylko dozwolone cztery stronnictwa polityczne, związane uprzednio przymusowym wzajemnym układem politycznym, zwanym Frontem Narodowym. Ta umowa wyłączała wszelką możliwość zorganizowania opozycji i nawet mianowanie niezależnych kandydatów z poza tego urzędowego bloku politycznego zostało uniemożliwione. W ten sposób naród czeski został pozbawiony swych najpierwotniejszych praw i przywilejów demokratycznych. A jednak świat zewnętrzny zdawał się niczego nie widzieć.

Ostatnie wydarzenia jednak jakby w świetle błyskawicy ukazały rzeczywisty wygląd dzisiejszego położenia politycznego w Republice Czechosłowackiej i uczyniły go jasnym dla wszystkich. Cały świat był świadkiem poniżającego postępowania i nacisku wywieranego przez Moskwę i nagle zdał sobie sprawę ze stopnia zależności Czechosłowacji. Sromotne wycofanie przez Czechosłowację jej własnego postanowienia z zakresu polityki zagranicznej, powziętego kilka dni przedtem, pod naciskiem ujawnionej opinii publicznej, oraz potulne przyjęcie przeciwnej linii politycznej i gospodarczej narzucone zostało przez ZSRR narodowi czeskiemu wbrew jego żywotnym interesom.

Jesteśmy zmuszeni — rzecz oczywista — potępić nie tylko ZSRR i komunistów w Pradze, ale także dr Edwarda Benesza, którego cała polityka podczas wojny i potem dążyła do zmiany tysiącletniego, tradycyjnego dążenia Czechów ku zachodniej cywilizacji chrześcijańskiej — na rzecz fałszywej ewangelii Wschodu szerzonej pod pokrywką nowej wiary panslawistyczno-komunistycznej.

Jeszcze raz protestujemy przeciwko temu uciskowi narodu czeskiego przez obce mocarstwo i jego rzeczników w Pradze.

Jeszcze raz ogłaszamy, że wszystkie rozstrzygnięcia dokonane przez obecny rząd czechosłowacki w Pradze w imieniu i z ramienia narodu czeskiego — znów pozbawionego wszelkiej możliwości wyrażenia swej woli — są nieważne i niebyłe oraz nie wiążące w jakikolwiek sposób narodu czeskiego.

Jeszcze raz — będąc przekonani o tym, że wyrażamy rzeczywiste uczucia przeważającej większości narodu czeskiego — głosimy naszą mocną wiarę w zupełne zwycięstwo szlachetnej zasady „prawo przed siłą" i w ostateczną porażkę polityki siły, która spycha udzielne narody do rzędu lenników.

Pozostajemy...

Przewodniczący (— gen. Lew Prchala

Sekretarz Generalny (—) dr Karol Locher

Z prasy sowieckiej

Przed nową falą czystek wewnętrznych

Czasy, gdy w ZSRR rozbudowywano „kultury narodowe", gdy tworzono nowe alfabety dla narodów odwiecznie niepiśmiennych, gdy panowała zasada; „kultura narodów radzieckich jest narodowa w formie, socjalistyczna w treści" — zaczynają należeć do przeszłości. Szkoły narodów radzieckich są rusyfikowane coraz intensywniej.

„Ucitielskaja Gazieta" z d. 19 lipca br. w obszernym artykule pt. „O wykładaniu języka rosyjskiego w szkole narodowej" pisze, zaczynając od cytaty z Lenina:

> „W 1914 r. W.I. Lenin wyjaśniał, że my... „Oczywiście jesteśmy za tym, aby każdy mieszkaniec Rosji miał możność nauki języka rosyjskiego"...
>
> „W chwili obecnej w Gruzji istnieje ok. 300 rosyjskich szkół średnich. Więcej niż połowa ich uczniów — to nie-Rosjanie; jednak dobrowolnie uczą się w szkołach rosyjskich"...

Z artykułu dowiadujemy się, że liczbę godzin nauki języka rosyjskiego w szkołach gruzińskich zwiększono znacznie, że w szkołach wyższych językiem wykładowym jest wyłącznie rosyjski, że obecnie powiększono bardzo liczbę miejsc na wydziałach historii literatury rosyjskiej w uniwersytetach — ale że tego wszystkiego jeszcze mało i trzeba obowiązkowo włożyć wielką pracę w wychowanie odpowiednich kadr nauczycieli języka rosyjskiego w szkołach całego ZSRR. Artykuł rysuje szczegółowy program rusyfikacji.

Redakcja gazety dodaje, że ogłasza artykuł jako dyskusyjny i zaprasza najszersze rzesze czytelników do wypowiadania się na ten temat. Rezultat raczej wiadomy: wszyscy czytelnicy z entuzjazmem uchwalą rusyfikację szkół nierosyjskich. Jeśli rząd socjalistyczny „najprawdziwszej demokracji" zdąży, to niebawem — jak w dawnych szkołach na obszarze władzy carów — język rosyjski będzie wykładowym, a języki miejscowe jako „przedmioty". Ideałem będzie — jak donosi „Ucitielskaja Gazieta" z d. 26.7. br. w artykule pt. „Cenna inicjatywa" — „Język rosyjski jako język międzynarodowej wspólnoty narodów ZSRR". — Jest to tytuł jednego z odczytów dla nauczycieli języka rosyjskiego w szkołach nierosyjskich.

WALKA Z SYMPATIAMI DLA ZACHODU

Wykorzenianie nastrojów „niskopokłoństwa" wobec Zachodu trwa bez przerwy.

„Trud" z 9.8 w artykule pt. „O amerykańskich odkryciach" Benina czyli opowiadanie o niskopokłońistwie" gromi Benina, autora technicznej książki o cukrownictwie, za to, że „sowieckie odkrycia i wynalazki w rękach Benina nagle przekształciły się w amerykańskie"... i że w ogóle Benin śmie zdobycze amerykańskie w zakresie cukrownictwa stawiać wyżej od sowieckich.

Bieda w tym, że Benin przyjechał w 1945 z USA, dokąd był wysłany na studia, że widział technikę amerykańską i zamiast mówić o jej „prymitywizmie" wpada „w niewolniczy zachwyt". Po prostu szpieg amerykański!

„Gudok" z 16 lipca domaga się, aby zabronić śpiewać w ZSRR piosenki „Tipperary", ponieważ „śpiewały ją angielskie wojska, które wspomagały Kołczaka"... Piosenki, która wyraża tęsknotę żołnierza do domu... (artykuł pt. „O braku kultury i gustu(!)).

KRADZIEŻ ZBOŻA, DZIECI - SZPICLE

„Gudok", pismo kolejarskie, z d. 1 sierpnia podaje całą listę wagonów, w których po zważeniu brakowało po 7 do 15 ton zboża w stosunku do tego, co być powinno. Nierzadkie to wypadki, kiedy „Gudok" pisze o zaginięciu całych pociągów.

„Pionierskaja Prawda" — pismo dla dzieci—z 18.7 podaje dramatyczny rysunek i informację o tym, jak dwaj pionierzy złapali złodzieja, który kradł kłosy pszenicy z kołchozowego pola. Pionierzy odprowadzili złodzieja z triumfem do milicji.

Warto przypomnieć, że w „faszystowskiej" Polsce kradzież chleba prawnie i oficjalnie nie była uważana za przestępstwo i sądy nie karały człowieka, który ukradł chleb. Natomiast donosicielstwo wśród dzieci było tępione.

W ZSRR kradzież chleba i zboża musi przybierać katastrofalne rozmiary, a głód wciąż nie przestaje trapić mas, skoro do walki z kradzieżami zboża i chleba mobilizuje się dzieci i młodzież. „Komsomolskaja Prawda" z d. 6 sierpnia w artykule wstępnym:

> „Obecnie, gdy w dni żniw na klepiskach i punktach zbioru gromadzi się dużo ziarna, liczne elementy antykołchozowe... rabują zboże, albo starają się bezprawnie zdobyć nadwyżki"...
>
> „Komsomolcy winni pamiętać, że społeczna własność kołchozów jest święta i nietykalna".

WSTRZYMANIE PRZYJMOWANIA DO PARTII

„Prawda" z 6 sierpnia atakuje ostro te organizacje partyjne, które „gonią za liczbą członków i urządzają uroczyste przyjęcia i rekrutacje do partii".

Jest to — jak na stosunki sowieckie — dość jasny zakaz przyjmowania nowych członków. Inne dane wskazują na to, że partia stoi przed początkiem nowej fali czystek wewnętrznych.

W SIECI SPRZECZNOŚCI

„Komsomolskaja Prawda" z 9 sierpnia w artykule pt. „Prawda i obiektywizm" skarży się na panoszące się kłamstwo i blagę. Twierdzi, że:

> „Najistotniejszą przyczyną, rodzącą bufonadę, jest zła kontrola spełnienia przyjętych na siebie obowiązków, słaba krytyka i niedostatecznie ostra wymagalność w pracy"...

Naszym zdaniem przyczyny są głębsze — tkwią w samym systemie niewolnictwa sowieckiego, który żyje podwójną moralnością, stosując inne wymagania wobec mas pracujących, a dając zgoła inny przykład z góry. Z wyżyn partii panującej idzie przecież ten kult blagi, samouwielbienia, wiary w nieomylność „ojca ludów". Jaki pan — taki kram...

„Trud", organ Centralnej Rady Związków Zawodowych, z 8 sierpnia odkrywa — mimowolnie — drugą sprzeczność, tkwiącą w systemie — mianowicie sprzeczność między propagandą o rzekomym wielkim znaczeniu związków zawodowych, a faktycznym ich nieistnieniem—jako organów walki o prawa robotnicze:

> „Przewodniczący komitetu fabrycznego... tow. Mienszykow, skarży się na administrację (faktycznego właściciela fabryki — przyp. J. K.), która narusza prawodawstwo socjalne i obrażonym głosem dodaje: — Ze mną zupełnie nie chcą się liczyć. Nie biorą mnie pod uwagę"...

Nieporozumienie pochodzi stąd, że tow. Mienszykow uwierzył, jakoby „ojczyzna proletariatu światowego" w ogóle liczyła się z robotnikiem i brała pod uwagę jego żądania.

„Trud" z 6 sierpnia w artykule wstępnym podaje przykłady łamania umów zbiorowych — w przemyśle budowlanym, jedynym zresztą, w którym umowy te były zawierane.

Przy sposobności wyjaśnia, że umowa zbiorowa w państwie proletariackim jest: „...podstawowym czynnikiem mobilizacji wysiłków dla wypełnienia zadań planu państwowego"... — czyli innymi słowy służy państwu — kapitaliście — nie robotnikowi.

SKARGI INWALIDÓW

Inwalidzi, b. żołnierze armii sowieckiej, w liście do „Izwiestij" z 8 sierpnia skarżą się, że nigdzie nie mogą dostać części gumowych do swych protez „a proteza bez gumy jest torturą"...

Przewrotne państwa kapitalistyczne lepiej dbają o swych byłych żołnierzy — może dlatego, że sposobią się do „nowej wojny imperialistycznej".

J. K

MISTYCZNE MAJACZENIA

Przed kilkunastu dniami dostała mi się do rąk niezwykła książka. Na pozór wygląda niewinnie, a może nawet ciekawie: — „Człowieczeństwo i kultura", — Jan Stachniuk, — Poznań 1946. Brak wydawcy. Tylko pod wewnętrznym tytułem umieszczono dziwny symbol — ... równoramienny krzyż w kole. Prawdziwe nazwisko autora mało jest znane, bo któżby je tam z mroków przedwojennych pamiętał, tym bardziej, że zasłynęło tylko krzykactwem niepoczytalnych urągań przeciw duchowi narodu, ale wiele mówiący tytuł książki, tematyka rozdziałów, liczne cytaty poparte głośnymi nazwiskami, wreszcie ten dziwny symbol krzyża w kole, mogą być dla wielu osób zachętą do przeczytania.

napisał **TADEUSZ JANTAR**

A może w dzisiejszych warunkach bardziej jeszcze od tych zewnętrznych przynęt kusi nas pytanie, co się tam w kraju dzieje, jak myśli i co myśli, a każda książka programowa powołująca się na publikacje przedwojenne i konspiracyjne wydaje się być ciekawą i godną uwagi.

Kto już wziął ją do ręki, chociaż na większość wypowiedzi i argumentów musiał się oburzać, przecież czytał z zainteresowaniem, a w kilku wypadkach dostrzegłem, że gubił przy tej lekturze i własne zdanie. Wynikało to z dwóch powodów: 1.) — tematyka książki jest w swoim przeciwstawieniu się prawdom ogólnie przyjętym raczej oryginalna, a pozornie naukowe ujęcie przedmiotu stępia ocenę czytelnika nieobeznanego z podobną literaturą, 2.) — namiętna argumentacja autora — fanatyka i szowinisty antykatolickiego — działa na czytelnika podobnie, jak na narkomana trucizna, o której wiemy, że jest szkodliwa, ale której — nie jesteśmy zdolni się już wyrzec.

Dwa te czynniki z książki i mało poważnej i mało ciekawej robią niebezpieczne narzędzie propagandy antykatolickiej.

Z tych względów wydaje mi się bardzo wskazane książce Stachniuka poświęcić kilka uwag i wyjaśnień.

* * *

Jan Stachniuk jest stosunkowo młodym człowiekiem. Jest wychowankiem Uniwersytetu Poznańskiego, zajmuje się badaniami ekonomiczno-historycznymi.

Myśli jego kształtują się pod wpływem Nietzchego, St. Brzozowskiego i Adlera.

Z poglądów tych myślicieli i naukowców, Stachniuk wykroił sobie dowolnie własne przesłanki światopoglądowe i na nich rozbudował mistyczne majaczenia antykatolickie. Wykład swoich teorii rozpoczął w roku 1933 pracą „Kolektywizm a naród", a następnie w roku 1935 wydał „Heroiczną wspólnotę narodu". Rozwinął tam tezę o szkodliwych wpływach chrześcijaństwa na rozwój kultury, do czego, za punkt wyjścia, przyjął oderwanie myśli chrześcijańskiej od życia na ziemi i przeniesienia jej w zaświaty, co miało spowodować osłabienie wydajności kulturalnej człowieka.

W roku 1937 zbiera Stachniuk wokół siebie nieliczną grupę elementów neopogańskich i wydaje wraz z nią w Warszawie antykatolicki miesięcznik „Zadruga". Jest to zespół zdecydowanych dziwaków.

W roku 1939 wydaje w Warszawie dwie książki. W styczniu — „Państwo i gospodarstwo", w sierpniu — „Dzieje bez dziejów" w których to wyprowadza bezpodstawną teorię, że katolicyzm winien jest upadku Polski, bo rzekomo miał hodować w narodzie „wstręt do pracy", „niedołęstwo życiowe", „sielskość beztreści bytu", „tendencje wegetacyjne" itp.

Na tej podstawie opinia katolicka napiętnowała „Zadrugę" jako ruch neopogański wzorowany na teoriach hitlerowskich Alfreda Rosenberga zawartych w „Der Mythus XX Jahrnuderst". Zarzutu tego „Zadruga" nigdy rzeczowo nie odparła i faktem jest, że w pierwszych latach okupacji miała w Warszawie opinię ludzi „zwąchanych" z Niemcami. Wprawdzie w przedmowie do „Człowieczeństwa i kultury" Stachniuk opiniom tym zaprzecza twierdząc, że je sam rozpuszczał dla zabezpieczenia się przed Gestapo, przy czym mocno powołuje się na swoją współpracę z Państwem Podziemnym, które w roku 1943 wydało konspiracyjnie jego książkę „Zagadnienia totalizmu" (w wyd. konsp. tyt. „Psychologia emocjonalna"), gdzie obszerny rozdział poświęcony jest krytyce hitleryzmu. Chociaż książkę tę dobrze pamiętam, nie mogę sobie przypomnieć, by wówczas tam w Warszawie ktokolwiek kojarzył ją z działalnością „Zadrugi". Widocznie Stachniuk nie był jeszcze pewien wyniku wojny, albo przestać wierzyć w neopogański hitleryzm i przez zakulisowe „osóbki" ubezpieczał się na niewiadomą przyszłość. Wiadomo za to bezprzecznie, że w grupie „Zryw" (skrót od: „Stronnictwo Narodowego Zrywu Gospodarczego"), zmontowanej w roku 1942, „Zadruga" maczała ręce a następnie przez działalność tego ugrupowania — zarówno świadomą jak i nieświadomą — uprawiała propagandę antykatolicką.

Po zajęciu Polski przez Sowiety tak Zryw" jak i „Zadruga" podjęły natychmiast współpracę z blokiem komunistycznym, gdzie jako ugrupowanie antykatolickie („Zryw" oficjalnie uchodzi za grupę „postępowych katolików" w zasadzie jest jednak zespołem dywersji antykotolickiej) dotychczas cieszą się pełnym zaufaniem i poparciem reżimu, co pozwala im wydawać pisma, broszury i książki przepojone jadem nienawiści do katolicyzmu i polskich tradycji kulturalnych.

To wystarczająco tłumaczy dlaczego „Zadruga" do roku 1944 nazywająca się „ruchem nacjonalistów polskich" tak szybko, łatwo i bezboleśnie przekształciła się na „szkółkę" międzynarodowego komunizmu.

* * *

Stachniuk nie jest pisarzem samorodnym. Główną jego cechą jest wiązanie cudzych myśli odkryć ispostrzeżeń, w dziwolągi nieobliczalnych teorii antychrześcijańskich. Każdy głos przeciw chrześcijaństwu jest wodą na jego młyn. Co jest istotną przyczyną tych gwałtownych, a często i bezpiecznych wystąpień, trudno doprawdy dociec. Tak na przykład ma się rzecz z całym rozdziałem „Człowieczeństwa i kultury".

Dlaczego jednak chrześcijaństwo stawia na równi z filozofią posakratesową i religiami wschodu, tego dociec nie można. Chyba jedynym wytłumaczeniem może być powtórzona za Nietzchem teza o „fataliźmie", który na drodze rozwoju greckiego mitu indywidualistycznego postawił chrześcijaństwo. Ponieważ jednak Stachniuk mimo wszystkie swoje niechęci do chrześcijaństwa zdaje sobie z tego sprawę, że największy rozrost kultury nastąpił właśnie w erze chrześcijaskiej i na terenach objętych przez chrześcijaństwo, więc z kolei snuje bałamutne wnioski na temat co by było, gdyby nie chrześcijaństwo.

Rozrost kultury w erze chrześcijańskiej przypisuje jakiejś mglistej „dynamice popędów", co można uznać tylko za banalną tezę przeciwstawioną rzeczywistości. Brednie na temat, że wszelkie myśli rozwoju postępu były zawsze przez chrześcijaństwo hamowane, chociaż poparte najbardziej wyszukanymi argumentami nie znajdą jeszcze usprawiedliwienia dopóki tłem, na którym działają jest życie chrześcijańskich społeczeństw. Autor zapomina np. o katolickiej Francji i jej wielowiekowym przodownictwie kulturalnym. W ogóle Stachniuk w stosowaniu źródeł jest więcej niż jednostronny.

Stachniuk posiada inny talent. Otóż nie można mu odmówić zdolności w składaniu najbardziej nieprawdopodobnych teorii. Są one zawiłe, przeważnie wręcz paradoksalne.

Gdyby Stachniuk przy całym swoim szowiniźmie przeprowadzał przynajmniej naukową krytykę chrześcijaństwa z punktu widzenia współczesnych tendencji rozwojowych kultury, oraz na podło... analizy współczesnych prądów społecznych, to możnaby powiedzieć, że jakkolwiek tezy autora są błędne mogłyby się takim wypadku przyczynić do rewizji poszczególnych poczynań chrześcijaństwa, lecz wyłączenie idei chrześcijańskiej z życia ludzkości jest po dwu tysiącleciach ocnajmniej absurdem.

Jego programem jest burzyć, chociaż nie potrafi powiedzieć w imię czego. Mgliste wypowiedzi o „wartościach nowego życia", nie wiadomo czemu nazwanego „życiem twórzycielskim" są tylko parawanem niepoczytalnych ambicji „mistyka" megalomana.

* * *

Teorią kultury nazwał Stachniuk pierwszą część swej książki, a nazwał ją tak dlatego, że ogólnie przyjęte pojęcia odwrócił o 180°. Natchnienie do tak pojętej kultury znalazł u St. Brzozowskiego który w swojej „Kulturze i życiu" takie oto wygłasza myśli: „Bytu nie ma. — Istotą świata jest swobodne stwarzanie. Czyn i twórczość nie są złudzeniami lecz najwyższą prawdą..." ale co u Brzozowskiego jest tylko krytyką kultury mieszczańskiej XIX w. to u Stachniuka rozrosło się do dogmatów nowego objawienia. Tak, chyba objawienia, bo inaczej tych nieudowodnionych prawd nazwać nie można. Toteż przyjmuje on, że „za istotę człowieczeństwa nie może być uważany ani rozum, ani wiara w inny świat, ani dusza nieśmiertelna, ani uczucia wyższe jak miłość, litość itp.". Ale „zasadniczą właściwością człowieka jest umiejętność wiązania energii w sobie i poza sobą, w ten sposób, że po związaniu jej nadaje się ona do trwałego użytkowania".

Tym wiązaniem energii „w sobie i poza sobą" ma być właśnie kultura, którą człowiek życiem swoim tworzy i stąd „zasadniczą właściwością człowieka jest geniusz tworzycielski", albo jeszcze inaczej „geniusz rekonstrukcji ładu naturalnego świata".

Nic dziwnego, że w takim pojęciu kultura jest wartością najwyższą i jedyną którą człowiek żyje i którą obowiązany jest służyć. Tym samym wszelkie idee nadrzędne uznające kulturę tylko drugorzędnie, jako wartość podlegającą kataklizmom i zniszczalną, są dla Stachniuka wrogie. I być może, że tu właśnie leży źródło jego prymitywnej nienawiści do chrześcijaństwa, ponieważ chrześcijaństwo za prawdę życia przyjmuje wiarę w nieśmiertelność duszy i duszę ludzką uważa za niezniszczalne znamię człowieczeństwa. To jest najbardziej niebezpieczna teza Stachniuka, gdyż współcześnie stosunek człowieka do kultury jest nieomal bałwochwalczy i wielu ludzi skłonnych jest uwierzyć, że ten demagog może mieć cień słuszności. Pomaga sobie przy tym, stosowaniem dziwolągów językowych w rodzaju: „wspakultur" „kulturowytworów", „mechanotechnik", „wspakdynamizmów", „biowegetacji", „pan-cierpień", „pan-tęsknot", „zamuskań kikutów kosmicznych", „wkołorożańców" itp. Kośćcem tych wywodów są dwa pojęcia. „Woli kosmicznej" będącej odpowiednikiem Boga i Woli tworzycielskiej". Zagadnienie wieczności rozwiązuje Stachniuk w sprytny sposób „wtopieniem życia ludzkiego w „dzieło" kultury".

Mogiły polskie na paryskim cmentarzu Montmartre

Naturalnie Stachniuk z reguły odmawia „płodności kulturalnej" chrześcijaństwu i plecie bujdy smalone o katolickim „personaliźmie"... „Dualizm istoty człowieka" jest parawanem wszystkich wywodów arcykapłana „Zadrugi", mamy nawet podstawę przypuszczać, że jest on zgodny z nauką Chrystusa, dzielącą pobudki natury ludzkiej na impulsy dobra i zła, a nawet jesteśmy pewni, że nawet te drugie przyprawiły Stachniuka o niepokój myśli, z czgo z kolei rodzi się błąd po błędzie.

Człowiek przestaje być wartością samodzielną, a staje się tylko „siłą zdolną do zobiektywizowania się w dziele kultury".

Wzory takich rozwiązań myślowych czerpie Stachniuk ze swoich obecnych mocodawców, a w pierwszym rzędzie z „konstruktywnego socjalizmu" — Stalina. Za motor przemian dziejowych przyjmuje Stachniuk „mity dziejowotwórcze", zapożyczone od Sorela.

„Dla kultury mają znaczenie tylko czyny twórcze", a niezmienne wartości religii objawionej będą tu tylko „wiecznym wzrostem biowegetacji". Wnioskiem wypływającym z tak pojętej teorii kultury jest bałamutna teza, że współczesna ludzkość poza nielicznymi wyjątkami „pewnych warstw przodowniczych. Związku Sowietów„ Ameryki Północnej i Europy północno-zachodniej" jest pożerana przez „marazm wspakultury".

Ta nieznana dotychczas „wspakultura ustanawia wartości, według których naturę człowieka dzieli się na część wybraną, godziwną z jednej strony, i potępioną, grzeszną z drugiej". Na takich to przesłankach zarzuca Stachniuk chrześcijaństwu, że wytworzyło światopogląd sprzeczny z dążeniami rozrostu kultury. Z drugiej znów strony potępia także „jałowy racjonalizm" który rzekomo wytwarza „przeświadczenie, że istnieje jakiś automatyzm rozwoju i postępu". Słowem Stachniuk przypisuje sobie prawo nieomylności, a wszystkim innym wymyśla od „bezdziejowców".

* * *

Najciekawszą częścią książki Stachniuka jest rozdział pt. „Cywilizacja zachodnia". Należy tylko żałować, że autor przywiązał tu większą wagę do uzasadniania swojej antychrześcijańskiej dotkryny, niż do właściwego opracowania tematu, które-go samo ujęcie jest bardzo interesujące. Jest to w zasadzie próba oceny trzech tysiącleci kultury zachodniej z wyznaczeniem podłoża jej narodzinom i wytłumaczeniem rozwoju. Właściwie Stachniuk nie jest znawcą starożytności, ale jak już zaznaczyłem posiada dziwną zdolność kojarzenia oderwanych faktów dziejowych w jeden system oryginalnych rozumowań. Oderwane myśli i wypowiedzi szeregu naukowców wiąże w jeden zwarty ciąg pojęciowy.

„Cywilizacja zachodnia wyodrębnia się od innych swoją żywotnością i dynamizmem"... wprawdzie „te same częstokroć pierwiastki znajdujemy i gdzie indziej", ale „oprócz właśnie rozmachu".

Dopiero „cywilizacja zachodnia jest pierwszym mitem dziejotwórczym rozpłomienionym przez człowieka". Nazywa on go mitem indywidualistycznym i pojmuje tak: „Indywidualizm, jako naczelna zasada cywilizacji zachodniej, nie jest wcale faktem naturalnym. Wręcz przeciwnie. Geneza indywidualizmu, a następnie instytucyj stanowiących kręgosłup cywilizacji zachodniej — wartość jednostki, jej nieprzedawnione prawa do stanowienia o swoich czynach i automatyczna za nie odpowiedzialność, liberalizm, demokracja, kapitalizm — są dziełem wysnutym z genialnego natchnienia..."

I to jest jedyne miejsce, gdzie Stachniuk przyznaje wartość jednostce ludzkiej. Następnie z analizy kultur starożytnych wyprowadza wniosek, że wszystkie ogniskowe kultury do czasów Grecji homeryckiej żyły wyłącznie w ramach praw natury, którymi były przytłoczone i których nie pojmowały. „ Szczebel naturalizmu przezwyciężony został tylko w jednym miejscu, w starożytnej Grecji". „ Istota tego procesu polega na świadomym łamaniu praw natury i użytkowaniu jej siły przez człowieka". Ale w takim stadium rozwoju w jakim wówczas była Grecja rysują się przeciwstawieństwa pomiędzy „nieograniczonością aspiracji twórczych" człowieka, a „ubóstwem pierwiastkowych narzędzi i środków".

Tą drogą „najwyższym dobrem staje się doskonała sprawcza jednostka", która w ciągłym rozwoju będzie dążyła do podporządkowania sobie świata. Jest to jak gdyby „samookreślenie się człowieka na tle świata przyrody".

W ten sam sposób rozumie Stachniuk także i filozofię starożytnej Grecji. Neguje wartość rozwojową myśli Sokratesa i całą filozofię posokratesową, którą nazywa „filozofią rozpadu".

Cywilizację zachodnią dzieli Stachniuk na trzy okresy. Starożytną w której człowiek opanował swoje wyobrażenia o życiu sprawczym. Porenesansową w której rozwinięto środki produkcji i wynalazczości ludzkiej. I wreszcie trzecią nadchodzącą — świadomego i naukowego rozwoju kultury, gdzie ciężar odpowiedzialności dziejowej nie będzie już spoczywał na „jednostce sprawczej", ale na „heroicznej wspólnocie narodu".

* * *

„Narodowa wspólnota tworząca", która według Stachniuka ma zapewnić sobie następną erę dziejów cywilizacji zachodniej, przyjmuje jako zadanie przezwyciężenie „mitu indywidualistycznego" na rzecz „mitu wspólnoty tworzącej". W parze z tym idzie wyłączenie swobody życia dla jednostki.

Stachniuk twierdzi, że jednostka sprawcza już swoją dziejową rolę spełniła i współczesnych zadań cywilizacyjnych nie jest zdolna samodzielnie opanować. Toteż wymaga on od jednostki służby na rzecz „praw socjotechniki" i „planizmu gospodarczego". Sam zresztą przyznaje, że „wzorzec ten jest pełną dowolnością" od którego „jesteśmy jeszcze bardzo odlegli".

Cała ta część książki jest już tylko i wyłącznie mistycznym majaczeniem pełnym zarozumialstwa i patosu. Autorowi nie wystarczają „zadróżne" dogmaty, więc pozwala sobie na proroctwa i wreszcie rzuca wielkie zdanie „Jestem człowiekiem. Znaczy to, że jestem spełniającym się zadaniem świata". Bredzi także trzy po trzy o „micie słowiańskim", o „wszystko obejmującej rewolucji człowieczej" itd. Co są jednak warte wszystkie te wypowiedzi najlepiej świadczy szczera uwaga, jakgdyby przez przeoczenie umieszczona na str. 269.

„Narzuca się tu uwaga, co należy uczynić z tymi elementami społecznymi, które dzięki niższości moralnej i biologicznej nie dadzą się podciągnąć na poziom twórczego napięcia życia wspólnoty. Sprawa jest jasna: muszą być izolowane w kręgu społecznym skąd nie będą mogli miazmatami swego upadku zarażać innych".

Jeśli jeszcze dodamy do tego wyraźne pokrzykiwania o „konstruktywnym socjaliźmie" na wzór sowiecki, sprawa rzeczywiście przedstawia się więcej niż prosto. Ów izolowany krąg społeczny to przecież hitlerowskie obozy koncentracyjne i sowieckie „łagry", i „miazmaty upadku", to nic innego jak „reakcja".

Tylko Stachniuk ma trochę większe wymagania, bo w tym „izolowanym kręgu społecznym" chciałby już zamknąć wszystkich praktykujących chrześcijan.

Doprawdy dziwne drogi wiodą do „nadczłowieczeństwa". Wątpić należy czy je nawet mógł w przybliżeniu przewidzieć „niewinny" Nietzche.

Co jednak dla Nietzchego było pobożnym życzeniem, dla Stachniuka jest możliwością do tysiącznych nadużyć prawa ludzkiego. I to jest właśnie przyczyna, dla której książkę Stachniuka nazwałem „niezwykłą i nieobliczalną".

Kongres pisarzy skandynawskich

Latem roku bieżącego odbył się w Helsinkach kongres tzw. demokratycznych pisarzy państw skandynawskich. W kongresie wzięła także udział delegacja pisarzy Związku Sowieckiego, co z góry przesądzało o charakterze i nastawieniu politycznym kongresu, tym bardziej, że odbywał się on nie na terenie Szwecji czy Danii, ale właśnie w kraju będącym pod okupacją sowiecką.

Kongres zagaił pisarz fiński Linnus, zwracając uwagę kolegów, że na każdym z nich ciąży odpowiedzialność budzenia czujności wśród własnego społeczeństwa, szczególnie w dobie obecnej, gdy światu grozi niebezpieczeństwo.

Szwed Folko Fridell domagał się wzmocnienia działalności pisarzy na polu zbliżenia międzynarodowego.

Pisarz norweski Nik Stong wygłosił referat o prasie amerykańskiej w krajach skandynawskich. Przestrzegał, że Stany Zjednoczone chcą stworzyć rynek zbytu na całym świecie, zarówno dla amerykańskich towarów, jak i dla amerykańskich idei. Amerykanie chcą owładnąć naszą umysłowością i zbudować ideologiczny front panamerykański pod przemożnym panowaniem dolara. Jako dowód Stong przytacza amerykański „Reader Digest", który pod pozorem obiektywizmu przemyca artykuły antysowieckie ,przeniknięte duchem faszystowskim. Groźę niebezpieczeństwa amerykańskiego powiększa fakt, że norweskie wydanie „Reader Digest" rozchodzi się w 100.000 egzemplarzy, a szwedzkie w 300.000. Następnie Stong poinformował zebranych, że wydawca „Collier's Magazine" zamierza stworzyć nowy typ pisma o charakterze międzynarodowym w 19 językach w 70 krajach. Norwegia, mówi dalej Stong, dosłownie zalewana jest prasą amerykańską, ale „nasze życie kulturalne jest dostatecznie odporne, by się przeciwstawić wpływom tej prasy". Natomiast nie ma on nic przeciwko propagandowej literaturze i prasie innego kraju, który sąsiaduje z Norwegią. Nie trudno zgadnąć pod czyje dyktando pisał swój referat.

W dyskusji, która się wywiązała po referacie Stonga, zebrani dali wyraz trosce, jak uchronić swoje kraje przed zgubnymi wpływami amerykańskimi i jak zachować niezależność kulturalną państw skandynawskich.

Pisarz szwedzki Asklund opowiedział o specjalnie zwołanej konferencji pisarzy w Sztokholmie z powodu „najazdu amerykańskiej reakcyjnej literatury".

Przedstawiciel Islandii Krysty Anderson w czarnych barwach odmalował niebezpieczeństwo, grożące od strony amerykańskiej literatury i prasy.

Kongres w końcowej rezolucji zwraca się do pisarzy, którzy rozpoczęli zdecydowaną walkę przeciw prasie amerykańskiej, która „lawiną propagandy reakcyjnej" zalewa kraje skandynawskie, zagrażając ich kulturze. W dążeniu do zabezpieczenia pokoju na całym świecie, pisarze powinni pomóc postępowym siłom, nurtującym w społeczeństwach skandynawskich.

Kongres pisarzy skandynawskich, który zgrupował literatów o nikomu nieznanych nazwiskach, był niczym więcej, jak nową tubą propagandy sowieckiej. Dowodzi on nie tyle wzmożenia się wpływów bolszewickich w tych krajach, ile wzrostu naprężenia rosyjsko-amerykańskiego. Rosja w sposób gorączkowy usiłuje przeciwstawić się wpływom Ameryki, która — jak widać z przytoczonych cyfr nakładów pism amerykańskich w Norwegii i Szwecji — wzmaga swe wysiłki, aby kraje skandynawskie „włączyć" do Zachodu.

J. E. Tymiński

Ostatni numer Tygodnika A.P.W.

Doszedł właśnie do naszych rąk obszerny i okazały, 40 stronicowy numer „Tygodnika Jednostek Wojska na Środkowym Wschodzie APW", datowany z 20 sierpnia 1947 r. Z zamieszczonego na wstępie „Pożegnania z czytelnikiem" pióra J. Szułdrzyńskiego dowiadujemy się jednak, że jest to niestety nie tylko ostatni numer tego wydawnictwa, ale równocześnie ostatni numer niezależnej prasy Polskich Sił Zbrojnych w ogóle. Ukazał się on bowiem w chwili, gdy Jednostki Wojska likwidują się i wyjeżdżają do Anglii.

„Pożegnanie" to przypomina dzieje wykrystalizowania się i rozwijania idei niepodległościowej na łamach prasy wojskowej. Jak zaznacza p. Szułdrzyński idei tej w roku 1943 na Bliskim Wschodzie wyraz dawał „Orzeł Biały", a „Tygodnik A.P.W." kontynuował ją od chwili swego powstania w dn. 1 lutego 1944 r. Mówiąc o podstawowych założeniach tej ideologii, autor artykułu pisze między innymi:

„Okres wojny spowodował wielką dewaluację znaczenia pozycji Polskiej, dewaluację nie tylko na rynku światowej polityki, ale także w wewnętrznym odczuciu samych Polaków. Istnieje wielu Polaków, którzy sądzą, że przez pomniejszanie wagi problemu Polski można za cenę częściowych wyrzeczeń uratować możność egzystencji i trwania narodu. Tej tendencji minimalistów polskich przeciwstawialiśmy się zawsze jak najostrzej. Zagadnienie Polski czy chcemy, czy nie chcemy, z istoty swojej, z natury położenia, i historii narodu polskiego jest problemem o zasięgu światowego znaczenia. Tylko w tym formacie powiązania aspiracji narodu polskiego z dążeniami i potrzebami światowymi da się rozstrzygnąć korzystnie losy Polski.

„Taka już jest konieczność dziejowa, że we wszystkich wielkich problemach światowych Polska musi być czynnym uczestnikiem, by utrzymać się na powierzchni życia, musi ona własnym wysiłkiem żłobić swoją rolę w światowej historii. Ucieczka od problemów wielkich zmagań politycznych czy kulturalnych polska bierność, mogą przynieść jako rezultat tylko to, że w naszym położeniu geograficznym obce czynniki narzucą nam swoją wolę polityczną i swój system kultury. Polska musiałaby przestać istnieć. Komu leży na sercu troska o byt narodu polskiego musi sobie tę prawdę jak najjaśniej uświadomić".

Tymi wnioskami czasopismo zamyka okres swej trzy i pół letniej pracy.

Omawiany numer otwiera rozkaz Dowódcy Jednostek Wojska na Środkowym Wschodzie, gen. bryg. Józefa Wiatra, który głosi między innymi:

„Jednostki Wojska na Środkowym Wschodzie przestają istnieć. Tym samym przestają istnieć ostatnie oddziały suwerennych sił zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej.

„Fakt ten jednak nie przekreślił, gdyż przekreślić nie jest w stanie, istnienia żołnierzy Polski Walczącej, świadomych swych zadań i celu pozostania na obczyźnie.

„Walka nasza nie jest skończona. Zmieniają się tylko jej formy. Nasze zadanie skończy się dopiero wtedy, kiedy Polska z powrotem będzie cała i niepodległa...".

W zakończeniu rozkaz mówi:

„Wierzę głęboko, że my wszyscy — żołnierze i ochotniczki, junacy i młodsze ochotniczki — spełnimy zadanie, które włożyła na nasze barki Polska, że wniesiemy cenny wkład do życia polskiego wychodźstwa politycznego skupionego wokół naczelnych władz R. P.".

Rozkaz ten wydany został w Qassasinie (Egipt) pod datą 6 sierpnia 1947 r.

Wśród licznych artykułów poświęconych sprawom polski i środkowego wschodu, a zwłaszcza działalności wojska i polskiego szkolnictwa wojskowego oraz stowarzyszeń na Środkowym Wschodzie, wymienić wypada artykuł p.t. „Nasza droga", będący streszczeniem art. pt. „Postawa ideowo-polityczna J.W.S.W.", jaki ukazał się w specjalnym numerze pisma młodych Polaków „Nurt", poświęconym Jednostkom Wojska na Środkowym Wschodzie. Dalej art. N. Nieświskiego „Środkowy Wschód w polityce światowej", W. Bączkowskiego „Polacy na Bliskim Wschodzie", J. Walewskiego „Stosunki polsko-arabskie 1940 — 1947", W. Rajkowskiego „Kair stolicą wschodu", S. Kościałkowskiego „Na cmentarzach libańskich", oraz specjalny artykuł poświęcony „Malarstwu i muzyce polskiej na Środkowym Wschodzie". Numer zamyka obszerny przegląd polityczny.

Ze szczerym żalem przychodzi nam donieść o tej nowej stracie w szeregach niezależnej polskiej prasy na uchodźstwie, prasy, która na obszarach Środkowego Wschodu ma za sobę dokładnie 7-letnią tradycję, gdyż właśnie przed 7 laty na przełomie sierpnia i września 1940 r. powstał pierwszy dziennik Brygady Strzelców Karpackich w Latrun (Palestyna) pn. „Ku Wolnej Polsce", najpierw jako pismo ściśle informacyjne, a w rok później zamienione na tygodnik. Żegnając „Tygodnik APW" życzymy wszystkim jego współpracownikom i kierownikom osiągnięcia celów głoszonych przez pismo i zawartych w rozkazie ich dowódcy, gen. J. Wiatra.

SIERPNIOWY NUMER „INTERMARIUM

(o) Ukazał się ostatnio 7., sierpniowy numer „Intermarium", czasopisma wydawanego na prawach rękopisu przez Sekcję zagadnień ekonomiczno - społecznych Środkowo-Europejskiego Klubu Federalnego w Rzymie (Via Giuseppe Mercalli 15, int. 7). Obszerny, 60-stronicowy zeszyt zawiera szereg artykułów zasadniczych i aktualnych dotyczących ruchu federalnego w Europie i tzw. Międzymorza. Między innymi wymienić wypada atr. T. Orawskiego „Razem czy z osobna", art. pt. „Jugosławia na międzymorzu" podpisany Jug., sylwetkę Georgii Dymitrowa, „Pacyfikację Rumunii", „Niedawna przeszłość i teraźniejszość Albanii", materiały do sprawy „Porozumienia ludowców Europy środkowo-wschodniej" i kronikę ruchu federalnego.

■

„Wiadomości Filatelistyczne"

Ukazał się nowy, podwójny (za sierpień i wrzesień) numer miesięcznika „Wiadomości Filatelistyczne". Numer zawiera artykuły: Stanilława Mikstena „Sytuacja w filatelistyce", Jerzego Kucharskiego „Datowniki poczty polowej 2. Korpusu", T. Gryżewskiego „Znaczki ghetta łódzkiego", K. Wojakowskiego „Poczta obozowa Gross-Born", ponadto porespondencje, omówienie nowych wydawnictw oraz informacje o nowościach filatelistycznych. Adres wydawnictwa: 40, West Hill, Wembley Park, London.

■

SPROSTOWANIE

W artykule A. Korczyńskiego „Polonica szwajcarskie w latach wojny" („O.B." nr 35 — 269) błędnie zostało wydrukowane zdanie o sporze polsko-sowieckim.Zdanie to powinno brzmieć: Spór polsko-sowiecki i sprawa polskich ziem wschodnich odbiły się w swoim czasie dość głośnym echem w całej prawie szwajcarii.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Jerzy k., Rongai — Nie skorzystamy.

Rol., Anglia — B. dziękujemy. Nie skorzystamy.

Stanisław Z., Nicea — Prosimy o podanie dokładnego adresu.

P. Marek Romański ma w redakcji do odebrania list. Prosimy o podanie adresu.

Życie kulturalne w Kraju

KATOLICKI UNIWERSYTET LUBELSKI

Katolicki Uniwersytet Lubelski posiada dwa wydziały kościelne: teologiczny i prawa kanonicznego, oraz dwa wydziały świeckie prawa i nauk społeczno-ekonomicznych, oraz nauk humanistycznych. W ub. roku akademickim Uniwersytet miał około 1200 słuchaczy (z czego na obu wydziałach kościelnych niewiele ponad 30 osób).

Nauka na wydziale ekonomicznym została znacznie „upraktyczniona" przez wprowadzenie wielu ćwiczeń oraz obszernego studium zagadnień wiejskich. Na wydziale humanistycznym czynne są wszystkie grupy z wyjątkiem filologii germańskiej. Absolwenci dawnych seminariów nauczycielskich mogą być słuchaczami nadzwyczajnymi na wszystkich grupach, szczególnie na pedagogicznej, i mają otrzymać prawa słuchaczy zwyczajnych. Na Uniwersytecie istnieje osobne studium języka i literatury rosyjskiej, prowadzone przez Piotra Żukowskiego, dawniejszego lektora języka rosyjskiego na Uniwersytecie Poznańskim.

Podstawą materialną Uniwersytetu jest głównie ofiarność społeczeństwa, przede wszystkim Towarzystwa Przyjaciół K.U.L. Opłaty studenckie oraz skromne fundusze państwowe idą na pokrycie kosztów administracyjnych. Przed wojną na potrzeby Uniwersytetu szły dochody z majątków Fundacji Potulickich, które zaraz po zakończeniu działań wojennych zaczęto parcelować. Interwencja rektora ks. Słomkowskiego, zdołała ocalić dla Uniwersytetu część majątku. Trwają przeciągające się starania o odzyskanie terenów już rozparcelowanych i lasów, które dawały największy dochód.

Władze Uniwersytetu mają ambitne plany na przyszłość, jak rozbudowa gmachu, [illegible]owa biblioteki oraz domów dla słuchaczy i profesorów. W miarę możności mają [illegible] utworzone nowe wydziały. W najbliższym czasie rozbudowany zostanie wydział humanistyczny i studium historii kultury polskiej oraz studium muzeologiczne i bibliotekoznawczo.

MALOWIDŁA Z XVI WIEKU NA JASNEJ GÓRZE

W kaplicy Matki Boskiej na Jasnej Górze zakończono prace nad odnowieniem, trwające od r. 1942, kiedy to prowadzono były w ukryciu.

Pod warstwą tynku oraz malowideł pochodzących z wieku XVII odkryto dzieło pędzla — według przypuszczeń — Donabelli, który przebywał na dworze Zygmunta III. Ze sklepienia i ścian usunięto warstwę tynku, wypunktowano poszczególne rysunki i zrekonstruowano odnalezione malowidła. W formie prawie pierwotnej udało się odtworzyć obraz na prawej ścianie kaplicy, przedstawiający Ofiarowanie Pana Jezusa. Na obrazie widoczna jest Matka Boska, ofiarująca Dzieciątko arcykapłanowi Symeonowi, obok widać postacie Zygmunta III, Anny Jagiellonki i Władysława Wazy, przyszłego króla.

Drugi z obrazów, znajdujących się na tejże ścianie, uległ zniszczeniu w znacznie większym stopniu. Zachowała się tylko część przedstawiająca Adorację N. M. Panny. Obraz został uzupełniony według projektu prof. Ozimina.

Na lewej ścianie odkryto część obrazu przedstawiającego Madonnę na tle bogatej ornamentacji. Dalsza część obrazu została zniszczona. Przywrócił go do przypuszczalnego pierwotnego stanu także prof. Ozimin. Kompozycji tego malarza jest także scena ucieczki do Egiptu, przedstawiająca św. Józefa, wiodącego osiołka, który niesie N. M. Pannę z Dzieciątkiem.

Piękny obraz znaleziono na tylnej ścianie za ołtarzem głównym, równie dobrze zachowany w barwie jak i w rysunku. Przedstawia on Boże Narodzenie i Pokłon Trzech Króli.

Gotyckiemu sklepieniu kaplicy przywrócono pierwotny styl, odtwarzając wiernie malowidła, z których większość dochowała się w całości.

WIADOMOŚCI DROBNE

= 4.400 osób zasłużonych dla kultury polskiej zginęło w Polsce w czasie okupacji niemieckiej. Taką cyfrą zamyka prof. B. Olszewicz swoją „Listę strat kultury polskiej". A nie jest to na pewno lista pełna.

= Szczecin ofiarował Warszawie złom ze zburzonego pomnika Wilhelma, który przeznaczony jest na wykonanie projektowanego nowego odlewu pomnika Poniatowskiego. Model pomnika, dzieło duńskiego rzeźbiarza Thorwaldsena, znajduje się w Kopenhadze.

= W Przemyślu, który stał się obecnie miastem przygranicznym, nie zdołało się odrodzić, żywe przed wojną, tętno życia kulturalnego. Jedynym ośrodkiem, który z zawieruchy wojennej wyszedł obronną ręką, jest Muzeum Miejskie, stworzone przez Kazimierza Osińskiego. Jego kustoszem został po wojnie Roman Leśniak, który przeniósł i rozlokował ocalałe zbiory w pałacu biskupów grecko-katolickich.

= Ludwik Solski, który ukończył niedawno 92 lata, przygotowuje razem z Józefem Karbowskim inscenizację „Judasza z Kariothu" Rostworowskiego w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie. Sam objął tytułową rolę w sztuce. Widownia teatru podczas prób, prowadzonych przez Solskiego, wypełniona jest aktorami i uczniami szkoły dramatycznej, którzy przyglądają się reżyserskiej pracy najstarszego w Polsce człowieka teatru.

STRASZNY SEN OB. BOREJSZY

Zmęczony częstymi wyjazdami za granicę ob. Borejsza zasnął. Nie w Panu, lecz w pasażerskim samolocie. I nagle zauważył, że samolot ląduje na Okęciu. Parę znajomych gęb ciśnie się do drzwiczek samolotu. Xawerek obgryzający paznokcie, jakiś somnambuliczny mętniak z zieloną gęślą na sznurku, oraz parę pomniejszych brzechw, kottów, przybosiów, i innych hołujów.

— Skąd ta muzyka? — zapytał ob. Borejsza.

— O Effendi, straszna historia! — pokłonili się igrce, gęślarze i ministranci.

— Mówcie, o giaury, ja prawdę znać muszę — rzekł Arcy-„Czytelnik".

— Wrócili, łotry — jęknął Hefajstos z czerwonej „Kuźnicy" — skorzystali z amnestii i wrócili!

— Die Faschisten sind zurückgekommen! — krzyknął Walldorf „prosto z mostu".

Ob. Borejsza myślał, że śni. W długich, pielgrzymich chlamidach, boso, z popiołem na długich włosach ukazali się: Zygmunt z gałązką rozmarynu, Kazimierz z laurem olimpijskim, Smętek-Kundlolog, Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy ze zgniłym jabłuszkiem, Zbyszek Karolewski od przodu i od tyłu, Kropek Lupkowski, Nagleria Herminowa, Marian Homer z marchewką w garści, Tymon Londyńczyk, Lech Jechoń, Open-the-door Richard Markotny i tłumy innych.

— Repatrianci, salutant te Caesar!

— Kak pożywajecie, rebiata? — Eviva Fernando Goetlini!

Auto Borejszy z trudem przeciskało się przez ulice, zakorkowane niezliczonymi tłumami.

— Obywatelu dyrektorze, lepiej już być nie może! — ryknął ktoś z otoczenia.

— Obywatelu dyrektorze! Wszyscy wrócili! Wszyscy bez wyjątku! Cały P.K.P.R. wrócił! Wszyscy generałowie! Hurra, nie ma już Londynu!

— Obywatelu dyrektorze, kłębowisko żmij zlikwidowane! Koniec. Kwita. Klapa. Szlus.

— Obywatelu dyrektorze, Rozmarek osiedla się z całą Polonią Amerykańską na Ziemiach Odzyskanych! Zwycięstwo na całej linii! Gloria! Victoria!

Ob. Borejsza usiadł w swoim gabinecie i zamyślił się. Co robić?

— Proszę mnie połączyć z tow. Bermanem.

— Tow. Berman poszedł na bankiet ku czci powracających — odezwał się głos w słuchawce.

Ob. Borejsza otarł pot z czoła.

Trrrr... Telefon.

— Obywatelu dyrektorze, tutaj Spec z „Robotnika". Skuba nadesłał z Londynu korespondencję. Pirwsza klasa. Tip-top! Palce lizać. Jak, oni, obywatelu dyrektorze, tę wódkę pili, jakie oni dziewczynki mieli... Pikantna historia, sama rewelacja, jeszcze ciepłe, prosto z pieca, od naocznego świadka. Jaki ten Skuba ma węch, co za talent!...

— Wstrzymać!

— Co proszę Że jak? Że wstrzymać? A o czym będziemy teraz pisać?

— Napiszcie o krajobrazie pod Szczecinem...

Trrrr... Telefon.

— Obywatelu dyrektorze, tu mjr. Dyzio z „Polski Zbrojnej". Co robić? Cymkin przyniósł artykuł: „Jak uciekłem z andersowskiego piekła"? Są dwie fotografie, rewelacja! Czy puścić?

— Wstrzymać! do kosza!

— Łatwo obywatelowi dyrektorowi mówić „do kosza", a co my damy na drugiej stronie. Przez dwa lata dawaliśmy takie kawałki, czytelnik się przyzwyczaił!

— Dajcie coś z życia owadów!

Trrrr... Telefon.

— Obywatelu dyrektorze, tu Wiesio z „Głosu Ludu". Cóż za klęska! Cóż za strata! Mówi mi kolega, że wszystko wstrzymać, że już nic więcej przeciw Londynowi. Całą złożoną kolumnę diabli wzięli. Cały cykl u Mrózka zakupiony, z góry zapłacony,cała robota na nic... Obywatelu dyrektorze, tak przecież być nie może!

— Hallo, tu redakcja „Repatrianta". Czy to prawda? Podobno wszyscy wrócili. To jest skandal! Państwo powinno było do tego niedopuścić! Z czego my będziemy żyć? 20 osób personelu na bruk, przez jedną amnestię przez Wasze namowy i agitacje!

— Przez nasze? Przez wasze! — ryknął Borejsza.

— Wysłać ich z powrotem do Niemiec i Anglii, niech idą, skąd przyszli!

— Hallo, tu PUR. Obywatelu dyrektorze...

— Hallo, tu Genick z „Kuźnicy". Obywatelu dyrekto.ze.

— Hallo, tu „[illegible]" redaktor od spraw Londynu.

Obywatel Borejsza oblał się zimnej wody.

Obywatel premier do obywatela redaktora! — wpada sekretarka.

— Obywatelu dyrektorze — rzekł Cyrano — nasza wielka kampania za powrotem jest skończona. Dzięki waszej niestrudzonej i umiejętnej propagandzie wszyscy marnotrawni synowie wrócili budować nową przyszłość. Słowem dobrze zasłużyliście się ojczyźnie! Będziecie mogli zająć się teraz pracą naukową. Odpoczniecie sobie w naszym Domu Wypoczynkowym pod Jelenią Górą.

W najbliższym budżecie przewidujemy skreślenie sum na propagandę i informację, skreślimy wszystkie subwencje dla czasopism. Prasę oddajemy w ręce pogodzonego społeczeństwa. Zaoszczędzone w ten sposób sumy obrócim, na opiekę społeczną, na budowę domów dla bezdomnych. Nie mamy już wrogów. Nie ma już reakcji. Jest tylko jedna demokracja ludowa. Kochany obywatelu, tak jak żołnierz po skończonej bitwie idzie do cywila, tak i Wy teraz...

Borejsza obudził się. Czuł kanonadę przerażonego serca w piersiach. Starł sobie gęste krople potu z czoła... Tfu, do diabła, co za straszny sen!...

A kiedy samolot wylądował w Warszawie, na wszelki wypadek zapytał urzędników na lotnisku:

— Czy wrócił ktoś znaczniejszy z zagranicy w czasie mej nieobecności?

— Nie, nikt. Wpadł tylko Słonimski z odczytem....

— A... to dobrze, że nie wrócili, to bardzo dobrze... To jest... — rzekł do osłupiałych urzędasów — to jest granda! Powinni wszyscy wrócić! Naturalnie! O to będziemy walczyć!...

MISS EMMI GRANT

BAGAŻ

napisał ROMAN ORWID - BULICZ

„To ten, który utopił walizkę" — śmiano się, gdy mówiono o nim. W czasie drogi zdarzył się zabawny wypadek, dla niego zapewne przykry, ale — jak to często w życiu bywa — cudza sprawa nie budzi u ludzi specjalnego żalu. Szedłem tuż za nim, widziałem więc wszystko dokładnie. Kiedy w Calais wspinał się po mostku i miał wsiadać na statek, zawadził widocznie o szczeble w podłodze, pośliznął się i w tym właśnie momencie wypadła mu z ręki walizka. Wprost do morza. Plusnęła rozgłośnie i — bagaż przepadł. Muszę przyznać, że zachował się stosunkowo rozsądnie. Nie krzyczał, nie rozpaczał. — Przez moment na jego twarzy zjawił się tylko jakby skurcz bólu, zacisnął zęby, spojrzał na dół — a następnie ruszył spokojnie naprzód.

Od wspólnych znajomych dowiedziałem się o nim tylko tyle, że jedzie do Anglii razem ze swoją córką i kilkomiesięcznym wnukiem.

Kiedy dojechaliśmy do celu i zaczęto się rozlokowywać w obozie — okazało się, że pechowiec został przydzielony do naszego baraku. U nikogo nie wywołało to entuzjazmu. Niezdara, stary niedołęga — co z takim robić? Jeśli chodzi o życie obozowe, najgorszy towarzysz pod słońcem. Nie zauważył naszej niechęci, wszystkim kolejno podał rękę, burknął jakieś nazwisko, a następnie — wybrawszy sobie łóżko w samym rogu — zaczął wlec do kąta swoje bagaże.

Po kilku dniach, powoli, zaczął jednak zdobywać naszą sympatię. Nie wymawiał się od pracy, jak każdy z nas, tak samo zamiatał podłogę, chodził po węgiel, po wodę — słowem, zachowywał się poprawnie.

Z natury musiał być małomówny i jak gdyby trochę skryty, nie brał bowiem udziału w naszych wieczornych rozmowach. Siedział na swoim łóżku, stale palił fajkę i zachowywał się tak, jakby go żaden na świecie temat nie interesował. Po pewnym czasie przyzwyczailiśmy się do tego. Nikt go nie zaczepiał, nie wciągał do rozmowy. W ogóle przestaliśmy zwracać na niego uwagę. Otrzymał tylko nowy przydomek: „niemowy".

Dopiero w miesiąc po przyjeździe do obozu rozpoczęłam z nim dłuższą rozmowę. Zupełnie zresztą przypadkowo. Była niedziela, wszyscy współlokatorzy baraku wybrali się gdzieś do miasta i tylko my dwaj zostaliśmy na sali. Bolała mnie głowa, położyłem się na łóżku i starałem się zasnąć. Sen jednak nie przychodził. W pewnym momencie usłyszałem gdzieś w kącie głos naszego „niemowy":

— Pan jest, zdaje się, adwokatem?

— Tak —odpowiedziałem sennie. — Byłem przed wojną...

— Bo widzi pan... — ten sam głos — ja bym się chciał poradzić.

Z pewnością zacznie mnie nudzić o informacje, w jaki sposób uzyskać odszkodowanie za zgubioną walizkę.

— Chce się pan zapytać o bagaż, prawda? — zapytałem tym samym tonem.

— Nie, nie — wyszeptał po chwili. — To już przepadło... O coś zupełnie innego.

— Noo?

— Kiedy widzi pan — zaczął się jąkać — to, o czym chciałbym mówić... to można tylko tak jak na spowiedzi.

Mimowoli otworzyłem oczy i uniosłem się na łóżku.

— Ja stosunkowo mało pana znam — ciągnął dalej — ja wiem, że pan nie ma może czasu... Ale z drugiej strony tak mnie ta sprawa dręczy... Już nieraz chciałem zwrócić się do pana o radę.

— Bardzo proszę — przerwałem mu. — Niech pan mówi. Na razie jesteśmy sami, a jeśli chodzi o moją dyskrecję, to z adwokatem czasem można rozmawiać jak z księdzem.

— Właśnie, właśnie — ucieszył się — to jest konieczne. Proszę z nikim na ten temat nie rozmawiać.

Zaintrygował mnie, usiadł obok na łóżku i obejrzawszy się niespokojnie, zaczął:

— Ja proszę pana byłem w kacecie... Trzy lata! Ale niech się pan nie boi — nie chcę na te tematy opowiadać. O tym trzeba zapomnieć i to możliwie jak najprędzej. Tyle tylko powiem, że na własne oczy widziałem, jak jeden Niemiec, esesman, zabił kilkuset heflingów... Zwyczajnie kijem... Rzadko kiedy strzelał... Pamiętam jego nazwisko: Hänke. Nie wiem nawet, czy było prawdziwe, w każdym razie takiego u nas używał. Nie był nawet brzydki. Blondyn. Rysy dość regularne, miał może dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat... Bestia w ludzkim ciele. Mordował po prostu dla przyjemności. Byliśmy wszyscy przerażliwie chudzi, słabi, pracowaliśmy ciężko — nie musiał się męczyć... Przeważnie wystarczyło jedno silne uderzenie. Następnie — machnął ręką — nie było już potrzebne.

Były kacetowiec urwał swoje wspomnienia. Wewnętrznie skulił się jeszcze bardziej...

— A właściwie — zaczął — po co ja to wszystko panu opowiadam. Nikogo już nie wskrzeszę — a to tylko męczy.

— Niech pan opowiada dalej — zachęcałem go do zwierzeń.

— Właśnie, właśnie — powtórzył na wpół przytomnie. Moja sprawa jest zupełnie inna. Zacznę od początku.

Odchrząknął i zaczął mówić przygnębionym tonem:

— Aresztowali mnie jeszcze w Warszawie, w zimie czterdziestego roku. Przez pewien czas siedziałem na Pawiaku, następnie wywieźli mnie do Dachau. W domu została żona z córką. Z początku nic o nich nie wiedziałem, dopiero później... Poczta nie przychodziła do obozu, dopiero potem trochę się zmieniło. Dostawaliśmy wiadomości, ale zawsze krótkie, urzędowe, przesłane przez cenzurę... W czterdziestym drugim roku otrzymałem list od jakiejś pani, która donosiła mi, że żona umarła. O córce nie wspomniała nawet. Może pan sobie wyobrazić co przeżyłem wówczas? Ani pomóc, ani coś poradzić... Nie miałem pojęcia, jak się urządziła po śmierci matki. W rok potem znowu kartka — krótka informacja. Wywieźli ją do Niemiec na roboty. Miała wtedy siedemnaście lat. Młoda dziewczyna... Nie trzeba być ojcem, aby zrozumieć moje obawy... Niech pan nie zapomina: siedemnaście lat!

Popatrzył mi w oczy, jakby chciał sprawdzić, czy go rozumiem, i po chwili zaczął mówić szybko, zupełnie jakby się spieszył:

— Od tego czasu zaczęła się podwójna moja męka. Ani chwili spokoju. Głód, ostatnia nędza, a w nocy ciągle ta sama troska-córka! Wszystkiego się bałem. Nie tylko bombardowania, ale i ludzi. Byłem już dwa lata w kacecie, a to zupełnie wystarcza, aby poznać wreszcie, kim jest — w gruncie rzeczy — człowiek.

— Czy pan nie starał się — przerwałem mu — nawiązać korespondencji?

— Z kim? Z córką? — popatrzył na mnie jakbym był dzieckiem. Uśmiechnął się słabo i w odpowiedzi machnął ręką. Pomilczał przez chwilę, zapalił fajkę i wrócił do swojego opowiadania.

— Do obozu dochodziły z zewnątrz czasem jakieś wiadomości. Prawdziwe, nieprawdziwe. Różne bywało. O dziecku wiedziałem tylko tyle, że pracuje w jakiejś fabryce niedaleko Monachium...

To, że przeżyłem ten straszny okres, zawdzięczam przede wszystkim mojemu przyjacielowi. Poznałem go dopiero w obozie. Młody chłopak — nie miał nawet trzydziestu lat. Siedzieliśmy na tej samej pryczy, pod jednym wspólnym kocem. Wyjątkowo dzielny, zaradny... Pomagał mi, aż do samego końca. Razem wydostaliśmy się na wolność. Amerykanie udzielili nam trochę pomocy, zaczęliśmy lepiej jeść, wzmocniliśmy się fizycznie i powoli wróciliśmy do normalnego życia. W każdym razie staraliśmy się o to.

Znowu popatrzył na mnie i specjalnie akcentując słowa dodał:

— To wcale nie było takie łatwe... Dużo trzeba było zapomnieć i wiele uczyć się od początku. Ten powrót do życia — dla mnie był może łatwiejszy niż dla innych. Przez cały czas żyłem przecież myślą o córce... Jak tylko znalazłem się na wolności, zaraz też rozpocząłem poszukiwania. Myślałem tylko o tym jak ją odnaleźć, czy jeszcze błąka się gdzieś po Niemczech, czy może... Pisałem listy, dowiadywałem się w fabryce, w której ostatnio pracowała — wszystko jednak na próżno. Dopiero w jesieni czterdziestego piątego roku ktoś mi powiedział, że jest we Włoszech, wstąpiła tam do wojska jako tak zwana Pestka. Nie bardzo chciałem w to wierzyć, ale informator mój zapewniał mnie, że ją widział w Anconie. Poprzez znajomych dostałem potrzebne papiery na przejazd i wyjechałem do Włoch. Tutaj znowu wszystko od początku Ancona, Bari, San Giorgio... Od biura do biura, od jednej instytucji do drugiej. I znowu wszystko bez rezultatu. A jakby się jakiś zły los sprzysiągł na mnie — otrzymałem nową fałszywą wiadomość, że córka moja jest w Anglii. Podobno przez Pierwszą Dywizję udało jej się otrzymać posadę w Czerwonym Krzyżu i w rezultacie pracuje w jakimś szpitalu w Londynie. Rzecz jasna, zacząłem pisać listy. Nawet odpowiedzi nie otrzymałem... Już miałem zamiar wrócić do Niemiec, a nawet pojechać do Polski — gdy nagle otrzymuję list, pisany ręką mojej córki. Jest, żyje, zdrowa! Dowiedziała się skądś, że jestem we Włoszech i prosi, abym ją tam ściągnął razem z jej mężem. Po sześciu blisko latach — pierwszy znak życia! Jestem już stary, alkohol mi szkodzi, ale pamiętam, że z jakimś przygodnym znajomym wybrałem się wtedy na wino. Nie miałem gdzie pomieścić swojej radości. Cieszyłem się jak dziecko...

Znowu przerwał, spojrzał — jak mi się wydawało — na wpół przytomnym wzrokiem i zapytał:

— Czy pan zna Brenner?

— Naturalnie, że znam. Przejeżdżałem przez tę stację kilkakrotnie.

— To dobrze. Coś panu powiem. Zaraz na drugi dzień odpisałem. Prosiłem ją, ażeby przeniosła się do Austrii, najlepiej do Insbrucka i tam czekała dalszych ode mnie wskazówek. W niespełna dwa tygodnie była już odpowiedź. List przyniósł mi mój znajomy, który w tym czasie jeździł do Monachium. Widział ją, rozmawiał, a nawet jeden dzień spędził u nich. Opowiadał mi także o jej mężu. Młody, przystojny, kocha ją szalenie. Taki sam biedak jak i ona. Ślązak, który przez całą wojnę ukrywał się gdzieś na robotach... Groziło mu przecież wojsko... wypytywałem o każdy szczegół. Jak wygląda, czy zdrowa, czy nie ma jakichkolwiek braków, czy nie cierpi głodu? Wszystko było dla mnie jednakowo ważne. Przez kilka godzin zamęczałem go stale tymi samymi pytaniami. On też pierwszy mi powiedział, że córka moja spodziewa się dziecka. A więc nowa radość — w najbliższym czasie miałem zostać dziadkiem! Na zakończenie dowiedziałem się także, że zgodnie z moją radą przenoszą się do Austrii i zamieszkają niedaleko granicy, możliwie przy szosie Insbruck-Brenner.

Urwał na chwilę swoje opowiadanie, zapalił zgasłą fajkę i potem, rozejrzawszy się niespokojnie, jakby podejrzewał, że może nas ktoś podsłuchiwać, zaczął przyciszonym głosem.

— W tydzień potem miałem znowu list od niej. Podawała adres oberży, w której zamieszkała razem z mężem. Wszystkiego dwa kilometry od granicy. Teraz już musiałem się spieszyć. Znowu wystarałem się o odpowiednie papiery i wybrałem się do nich. Pamiętam jakby to było dziś. Do schroniska P.C.K. na Brennerze przyjechaliśmy dość późno. Noc. Była może godzina jedenasta, a może nawet później. Z Werony zabrał mnie samochodem jakiś oficer, który jechał z Włoch aż do Bawarii, do Rosenheimu. Po drodze marudził trochę, w każdym miasteczku wstępował na wino... — w rezultacie przyjechaliśmy na miejsce w kilka godzin później niż było w programie. Przyjęto nas gościnnie — ale co z tego? Kiedy pokazałem tamtejszemu komendantowi pla ówki moje papiery, rozłożył ręce. Granica zamknięta, mój rozkaz wyjazdu opiewa na trasę kolejową, a pociągi wojskowe na kilka dni wstrzymane. Oświadczył mi, że nic się nie da zrobić i będę musiał czekać u nich tydzień, a może i dłużej czekać! Jak tu czekać, kiedy po drugiej stronie granicy, o kilka kilometrów ode mnie, czeka moja córka? Dziecko moje, którego od sześciu lat nie widziałem! Zacząłem więc prosić.... Nudziłem z pół godziny, ale ciągle to samo: nie i nie. Przejadę granicę dopiero po uruchomieniu pociągów.

Zmartwiony i trochę zły wyszedłem wreszcie z kancelarii. Zapaliłem na korytarzu zapałkę, ażeby oświetlić leżące tam jakieś paczki, o mało się nie przewróciłem i w tym właśnie momencie natknąłem się na mego przyjaciela z kacetu. Właśnie na tego, o którym już panu wspominałem. Był odmłodzony, rzeźki, wesoły. W pierwszej chwili nawet poznać go nie mogłem. Nie jestem skory do serdeczności, ale wówczas nie namyślałem się wiele — wpadliśmy sobie w ramiona. Zaciągnął mnie od razu do tamtejszej stołówki, zamówił gorącej herbaty, wyjął nawet z kieszeni butelczynę koniaku i dopiero rozgrzewszy się trochę zabraliśmy się do rozmowy. A więc: skąd się tu wziąłem, dlaczego przyjechałem itd. Rozgadałem się — przy kieliszku zawsze łatwiej. Opowiedziałem mu o swoich kłopotach, o trudnościach, związanych z przekroczeniem granicy, i o tym, że po drugiej stronie czeka na mnie córka. Gdy skończyłem, w odpowiedzi wybuchnął śmiechem, trącił mnie w ramię i oświadcza mi, że jest takim sobie nieoficjalnym przewodnikiem. Po prostu przemyca ludzi przez granicę. Co dwie, trzy noce prowadzi kilkanaście osób „na zielono". Zna każdy kamień na szlaku. Droga stosunkowo łatwa. Dziecko przejdzie. A kontrola? Jest, owszem — ale — machnął ręką. To nie jest żadna przeszkoda. Nalał nowe kieliszki i zaczął mnie wprowadzać w arkana swojego zawodu. Opowiadał długo, szczegółowo, śmiał się przy tym ciągle. Wreszcie koło drugiej nad ranem zaproponował mi, aby — nie mówiąc nikomu słowa — zaraz, tak jak stoimy, wyjść ze schroniska i przejść przez granicę. Zapewniał, że za trzy godziny będziemy już na miejscu. U córki.

— I co? — przerwałem — poszedł pan?

— Poszedłem — odpowiedział — po namyśle. — Droga nie była znowu taka łatwa, jak ją przedstawiał przyjaciel. Porządnie się zmęczyłem. Mróz tej nocy był dość silny, księżyc jak na złość świecił jasno — prawie pełnia — droga nie była więc taka bezpieczna. Zwłaszcza jest tam jedno takie miejsce, nad samą stacją kolejową, duża, otwarta polana... trzeba przejść przez sam środek.

— Niech pan powie — zaciekawiłem się — jak to było?

— Czy ja wiem?... Nie bardzo się rozglądałem. Szło się ścieżkami, przeważnie lasem, jakby nie było — dusza trochę na ramieniu. Pamiętam tylko, że w jednym miejscu zawadziłem nogą o jakieś kamienie, potoczyła się cała lawina... Nawet przewodnik stropił się trochę. Łomot, hałas — a chodziło przecież o zachowanie ciszy.

— No i co?

— Nic. Przeczekaliśmy chwilę, a potem ruszyliśmy w dalszą drogę. Gdy minęliśmy pas graniczny, nie trzeba już było zachowywać ostrożności. Zeszliśmy nawet na szosę. Do najbliższej osady nie było już więcej jak dwa, trzy kilometry. Tam właśnie w jednym z hoteików zatrzymała się córka. Przyjaciel okazał się idealnym przewodnikiem, znał bowiem ten zajazd i „melinował" w nim swoich klientów. Czuł się tam jak w domu. Gdyśmy przyszli na miejsce, wszyscy jeszcze spali. Trzeba było dzwonić, pukać... Serce waliło mi jak młotem... i to nie tylko ze zmęczenia...

Znowu zamilkł, potarł nerwowo czoło i zaczął jakby z wysiłkiem:

Izba... kuchnia. Właśnie paliło się w piecu. Koszulę miałem przepoconą i tak mokrą, że przede wszystkim trzeba było ją zdjąć i wysuszyć... Gospodyni proponowała nam, abyśmy się napili gorącej kawy. Trząsłem się trochę z emocji i z zimna. Niczego jednak nie chciałem, chodziło mi tylko, aby jak najprędzej obudzono córkę. Niech jej powiedzą, że przyszedł ojciec z Włoch i czeka na dole w kuchni. Czy długo na nią czekałem? Nie pamiętam. Wiem tylko, że wpadła do naszego pokoju... Zarzuciła na siebie jakiś szlafroczek i tak zbiegła...

Stary kacetowiec sam wzruszył się swoim opowiadaniem. Nie patrzyłem na niego ale byłem pewny, że ma łzy w oczach.

— Cóż mówić? — zaczął — jak mógł się witać ojciec z córką, i to po tak długiej rozłące? Płakałem, tuliłem ją do siebie... Ale nie mogłem mówić. Ani jednego słowa...

Wzruszenie znowu przerwało na chwilę jego zwierzenia. Udał, że manipuluje coś przy fajce.

— Trudno. Są w życiu człowieka takie chwile, o których nie można mówić spokojnie — usprawiedliwiał się. — Gdy ją przywitałem, gdy własnymi oczami stwierdziłem, że jest, że żyje, że znowu ją mam przy sobie, wówczas po raz pierwszy w życiu doznałem tak dziwnego uczucia, jak bym osłabł nagle... Rozmowa na razie nie kleiła się. Za dużo tematów i radości... Tymczasem przygotowywano dla nas śniadanie. Mój przyjaciel, aby nam nie przeszkadzać, udawał, że ma jakieś interesy z gospodynią, coś gadał, żartował. Pamiętam, że oboje nakrywali do stołu. Gdy już wszystko było gotowe i trzeba było siadać do kawy, córka moja przypomniała sobie, że przecież jej mąż czeka na górze — a musi go przecież pokazać swemu ojcu. Pobiegła też po masło, po jakieś drobiazgi...

Było mi wówczas tak dobrze, taki byłem radosny! Miałem wrażenie, że i zięcia uściskam, gdy tylko zejdzie, aby przywitać się ze mną. Nie mogąc usiedzieć bezczynnie zacząłem pomagać przy nakrywaniu stołu. Tu brakowało jeszcze łyżki, tam widelca... Krzątałem się i tak byłem zajęty, że nie zauważyłem nawet, kiedy zbiegli z powrotem. Przyjaciel mój zobaczył go pierwszy. Trzymał właśnie w jednej ręce flitankę, a w drugiej nóż. Pamiętam, że zatrzymał się w miejscu i stanął jak wryty. Trwało to jednak ułamek sekundy. Poznał go — jak mi później mówił — od razu, gdy tylko wszedł. Ja także, jak się tylko odwróciłem. Nie miałem najmniejszej wątpliwości — ani Hänke. Ten sam. Kat z grubym sękatym kijem, który mordował, zabijał jednym uderzeniem... Co się wówczas we mnie dokonało — sam nie wiem. Jakiś skurcz serca i zupełny paraliż woli... Stałem bezradny, nieruchomy... Patrzyłem tylko... On nas nie poznał. Skądże by mógł nas poznać? Widywał nas jako więźniów w pasiatych ubraniach, chudych, brudnych, zagłodzonych... A zresztą, takich jak my było tysiące, wszystkich nie mógł pamiętać... Podszedł do mnie i zaczął się witać. Zwyczajnie... Tak, jak się wita zięć z teściem — a więc z całą gotowością przyjęcia formy, jaką ja mu narzucę.

— I jak się pan zachował? Co pan zrobił? — zapytałem przerażony.

— Nic. Podałem mu rękę... Działałem jak automat. Musiałem tylko zmienić się na twarzy, gdyż córka moja od razu coś zauważyła. Myślała pewnie, że zbladłem ze zmęczenia, z wysiłku...

— A pański przyjaciel?

— On był w lepszej sytuacji. Miał trochę czasu, ażeby ochłonąć. Nikt go zresztą nie obserwował. Patrzył na mnie i sądząc, że taką obrałem taktykę — zastosował się do niej. Przywitał się także i czekał, co ja zrobię.

— Niech pan opowiada — dopraszałem się o dalszy ciąg.

— To było straszne — powiedział z wysiłkiem. — To się nie da opowiedzieć... Siedliśmy wreszcie do śniadania. Ktoś coś mówił, wiem, że odpowiadałem nawet na pytania, ale wszystko jakby w półśnie. Wszystko szło na karb mego zmęczenia, aż wreszcie nastrój zrobił się tak ciężki, że gdyby nie mój przyjaciel, który ratował sytuację, prawdopodobnie córka zorientowałaby się, że ze mną dzieje się coś dziwnego. Zrozumiałem, że muszę zostać przede wszystkim sam... Trzeba było zrobić porządek z własnymi myślami. Przeprosiłem więc wszystkich i wreszcie zaprowadzono mnie do jakiegoś wolnego pokoju. Gospodyni posłała nawet łóżko...

Gdy byłem już sam, pamiętam że nie rozbierałem się. Siedziałem na łóżku... Jak długo. — Nie pamiętam. Godzinę, może dwie. Z odrętwienia wyrwało mnie dopiero wejście mojego przyjaciela. Otworzył cicho drzwi i z palcem na ustach zaczął się zbliżać do mnie. Dawał mi w ten sposób znać, że musimy porozmawiać w sekrecie. Gdy usiadł obok mnie, położył mi rękę na ramieniu — nie odezwał się jednak ani słowem. Znowu nie wiem, jak długo przesiedzieliśmy w ten sposób. — Straciłem zupełnie poczucie czasu. Pamiętam tylko, że wreszcie potrząsnął mnie lekko i szepnął:

— „Panuj nad sobą... Trudno, to się zdarza..." — Następnie zaczął mnie namawiać:

— „Weź kapelusz, wyjdziemy trochę przed dom. Ociepliło się, słońce świeci... Porozmawiamy spokojnie. Trzeba coś postanowić".

— Zwlokłem się wreszcie z łóżka i znowu na palcach, kolejno, jak spiskowcy, jeden po drugim wyszliśmy z mego pokoju. Spotkaliśmy się dopiero na podwórzu, następnie już razem skręciliśmy ścieżką na małą polankę. Niedaleko drogi leżały jakieś bale. Siedliśmy na nich i niby to wygrzewając się w słońcu zostaliśmy tam aż do obiadu.

— O czym panowie rozmawiali?

Znowu uśmiechnął się gorzko:

— Nie zamieniliśmy z sobą ani słowa. Dopiero kiedy mieliśmy wracać, mój kolega z kacetu popatrzył mi w oczy, przetrzymał wzrok przez chwilę i wreszcie zadecydował: — „Doszedłem do przekonania, że to trzeba jakoś załatwić. Zadecydować musimy we trójkę". — W pierwszej chwili nie mogłem się zorientować o czym on myśli. — „We trójkę? — zapytałem głucho. — Jak to rozumiesz?" — Nie odpowiedział od razu, znowu popatrzył na mnie poważnie i po chwili mruknął jakoś niechętnie: — „No niby ty, ja... no i... on. — Mówiąc to wskazał ręką na wypogodzone niebo. — Zapewniam cię — dorzucił — że nie będzie to gorszy trybunał, jak tamten, w Norymberdze..." — Taki jeszcze byłem oszołomiony, że zapytałem go nieomal bezwiednie: — „Jak to rozumiesz? Jaki trybunał?" — W odpowiedzi wzruszył tylko ramionami, podniósł się ciężko z bali, na których siedzieliśmy, i innym już tonem powiedział: — „Nic, nic. Porozmawiamy potem. Na razie trzymaj się i ani pary z gęby. Nie zapominaj, że w grę wchodzi tutaj także twoja córka. Sprawę trzeba załatwić bez rozgłosu".

Przy obiedzie nastrój był już lepszy. Sytuację ratował mój przyjaciel. Plótł coś żartował, usta mu się nie zamykały. Rozśmieszał wszystkich.

— A jak się zachowywał Hänke?

— On? — starzec uśmiechnął się sarkastycznie. — On? — niczego nie podejrzewał. Gruboskórna bestia. Rechotał, śmiał się...

Czy ja wiem zresztą co robił? Nawet patrzeć w jego stronę nie mogłem. Niech się pan na chwilę wczuje w moją sytuację. Kat, oprawca, który obejmuje i pieści moją córkę!... Zbrodniarz z samego dna piekła. Zwyrodnialec, którym nawet inni esesmani gardzili. — Jeszcze dzisiaj, gdy o tym myślę, coś mnie chwyta za gardło... I wie pan co — zwrócił się jakby z pewnym zdziwieniem — to nie jest tylko nienawiść. To coś innego. Jakieś bezgraniczne obrzydzenie. W moim pojęciu, z tym człowiekiem łączyło się wszystko to, co jest najgorsze na świecie. A więc zbrodnia, podłość i najniższego rodzaju tchórzostwo. Bo przez tchórzostwo przecież przybrał on skórę Polaka. Przez podłe tchórzostwo ożenił się z Polką, która bezwiednie kryła go i pomogła wyjechać z Niemiec, gdzie na każdym kroku groziło mu zdemaskowanie. Niech się pan tylko wmyśli w ogrom tego łajdactwa?...

Wzruszenie znowu na chwilę odjęło mu mowę. Widać było, że żuł w sobie gniew, żal i rozpacz. Ręce mu się trzęsły.

— Ale to nic — rozpoczął jakimś desperackim tonem. — Przeszło, minęło. Nie o tym chcę teraz mówić. Ten przeklęty obiad skończył się wreszcie i znowu straciłem go z oczu. Córka rozmawiała jeszcze ze mną przez chwilę, biedactwo wypytywało się o Włochy, o warunki, w jakich będzie musiała tam mieszkać, czy są polskie szpitale, gdzie najlepiej spędzić krytyczny okres... Domyśla się pan, jak trudno mi było odpowiadać na tego rodzaju pytania. Na całe szczęście w rozmowie naszej brał udział także mój kacetowy przyjaciel. Żartował, obiecywał, że wszystko skończy się dobrze. Ostatecznie stanęło na tym, że w czasie najbliższej nocy, a więc za kilka godzin, przekroczymy granicę „na zielono". Ułożenie planu należało do przewodnika. Owszem, ułożył — powiedział to jakimś twardym głosem. — Wszystko przemyślał, wykonał, zażądał tylko... Opowiadający znowu zawiesił głos w pół słowa.

— Czego zażądał?

— Mojej zgody. Niczego więcej. Gdy córka moja poszła już na górę, znowu wyprowadził mnie z domu, na drogę. Spacerowaliśmy ze dwie godziny po szosie. Szczegółów — rzecz jasna — nie omawiał ze mną. Chodziło mu tylko o to, abym powiedział jasno, że się zgadzam. Plan jego był zupełnie prosty.

Ja miałem iść w przodzie z córką, a on z tym oprawcą w tyle. W czasie drogi, pod jakimkolwiek pozorem, mieliśmy się rozdzielić — ja razem z nią miałem iść prosto do schroniska, a on z... tamtym — ścieżkami w górę. Biegła tam inna droga. Zupełnie inna... O reszcie nie miałem się już martwić. Jak wróci sam do naszej placówki, to coś wymyśli, coś powie... Co — jeszcze nie wie, ale na pewno będzie dobrze... Wszyscy uwierzą. Jak już mówiłem, laziliśmy ze sobą dwie godziny ciągle tam i z powrotem. Zdecydować się w takiej sprawie — niech mi pan wierzy — to nie jest takie łatwe... Gdybym powiedział, że rozmawiałem wówczas z własnym sumieniem — to mógłby pan posądzić mnie, że przesadzam. Takie określenie brzmi przecież jak frazes. A jednak... Kogo się miałem radzić? Przyjaciela, który był już zdecydowany? Wiedziałem, że rozstrzygnięcie nasze będzie w tej sprawie naprawdę ostateczne. Od wyroku, który mieliśmy wydać — tam na brennerskiej drodze — nie było przecież odwołania. Czy byłem do tego uprawniony? W sensie formalnym — na pewno nie. Nikt mnie nie kreował na sędziego, nikt mi też nie doręczył dekretu... To jasne. Ale oprócz tych skrupułów w moim przekonaniu — istniały jeszcze inne, znacznie większe. Ja przecież byłem — ojcem. Prawda, że przez los wyjątkowo skrzywdzonym niemniej jednak ojcem. W takiej chwili nie wolno o tym zapominać. Godząc się na plan wysunięty przez przewodnika, musiałem zapytać sam siebie — kto tutaj będzie decydował: ojciec, czy tkwiący we mnie człowiek? Musiałem się zdobyć na rzecz prawie niemożliwą. Ocenić wszystko tak, jakby to dotyczyło osób trzecich. Jest więc stary człowiek, taki właśnie jak ja — jest jego córka i wreszcie istnieje też on, łotr, morderca... Co w takim wypadku zrobić? Jakie znaleźć rozwiązanie? Czy jeszcze raz skazywać tych wszystkich ludzi na Golgotę, potwornego procesu, który i tak zakończyć się musi śmiercią tego szubrawca, czy istotnie załatwić wszystko „we trójkę"? W tym drugim wypadku, nasz dzisiejszy wyrok osądzi Sędzia Najwyższy. Jak pan rozumie, tego rodzaju pytanie wymagało odemnie odpowiedzi nieomylnej.

— I jak pan zadecydował?

Starzec rozłożył ręce, przez chwilę namyślał się i wreszcie odpowiedział powoli:

— To nie było łatwe... Czy pan da wiarę, że od tego dnia zacząłem gwałtownie siwieć. Dawniej sądziłem, że to się tak tylko mówi, że w życiu to się nie zdarza. Włosy przecież to nie klisza, na której fotografują się nasze uczucia. A jednak... Przekonałem się, że to się zdarza.

Potarł ręką czoło i jakby z wysiłkiem westchnął:

— Chodziliśmy jeszcze po drodze, ja borykałem się z tymi trudnościami, zaczęło się już ściemniać, gdy nagle wybiegł z domu Hänke i zaczął wołać w naszym kierunku: — „Proszę ojca!... Żona moja prosi na chwilę" — I wtedy właśnie podałem przyjacielowi rękę. Uścisnąłem jego dłoń tak silnie, że musiał zrozumieć. Skinął tylko głową i kończąc naszą rozmowę, szepnął: — „O nic się nie martw. Ja wszystko załatwię". — Niech pan nie przypuszcza jednak, że w ten sposób chcę umniejszyć swoją odpowiedzialność. Że chcę w ten sposób powiedzieć, że nie dałem dość wyraźnej odpowiedzi... O nie... Wręcz przeciwnie. Uważam, że moja odpowiedzialność przed Bogiem jest stokroć razy większa. A więc dlaczego? Bo... bo zadecydował ten przypadkowy moment. Widok tego człowieka i wypowiedziane przez niego słowo: „Ojcze".

Zapadło teraz długie milczenie. Dopiero po chwili podniósł wzrok na mnie:

— Reszta, proszę pana, to nie jest już taka ważna. Razem z córką przeszliśmy stosunkowo łatwo, on sam w dwie godziny także zgłosił się w schronisku. Gdy wrócił był blady jak papier. Przedtem chwalił się, że da sobie radę, że coś wymyśli, że nikt nie zwróci na nie uwagi... Nieprawda. Ten stary kacetowiec trząsł się po prostu ze zdenerwowania. Wszystko, co opowiadał, brzmiało tak nieprawdziwie, że wreszcie ja musiałem wziąć inicjatywę w swoje ręce. Podawałem mu odpowiedzi w samych pytaniach już. Coś plótł, że musieli się rozstać, że natknęli się na placówkę. Uciekali jakimś autem... Może pan sobie wyobrazić, jakie to wrażenie uczyniło na córce. Była przestraszona, zaczęła płakać... Kochała go przecież... I jak każda żona bała się o męża.

Do spółki z przyjacielem namówiliśmy ją, żeby zeszła na dół i wsiadła do czekającego na nas samochodu. Szczęśliwie się dosyć złożyło, gdyż tego właśnie wieczoru odchodził mały transport do Werony. Gdy już razem z nią siedziałem na wozie, przyjaciel mój podszedł jeszcze do mnie, objął mnie za szyję i niby żegnając się ze mną, szepnął: — „Nigdy nic przypuszczałem, że to tak będzie... — To było naprawdę straszne". — O dalsze szczegóły — rzecz jasna — już go nie wypytywałem.

W Weronie zaczęła się nowa tragedia. Córka z każdym dniem była bardziej niespokojna, płakała, biegała od placówki do placówki, chciała szukać, telefonować... Sama nie wiedziała, co robić. Perswadowałem, tłumaczyłem jak mogłem, każdy jej projekt odkładałem „do jutra", ale wreszcie i moje pomysły musiały się wyczerpać. Trzeba było zmienić taktykę. Zacząłem się godzić z wysuwanymi przez nią obawami, że stać się musiało jakieś nieszczęście. Co wówczas przeszedłem, jak trudne wytwarzały się dla mnie sytuacje — nie jestem w stanie opowiedzieć. Dość, że i mnie zaczęły nerwy odmawiać posłuszeństwa. To męczy, to bardzo męczy — dorzucił cicho.

— A czy nie lepiej było powiedzieć jej całą prawdę? — zapytałem.

— Jaką prawdę? — spojrzał mi w oczy. — Niech pan nie zapomina, że ona wówczas spodziewała się dziecka... Dziecka, którego ojcem był ten... zaginiony. Jak pan to sobie wyobraża? Kto by się odważył brać na własne sumienie ryzyko, by powiedzieć całą prawdę i to taką prawdę... Można ją było przecież zabić.

— No dobrze — przerwałem — kiedy pańska córka dowiedziała się, że...

— O czym?

— No, że on nie żyje.

— Ona przecież nic nie wie... Do dzisiejszego dnia się łudzi, że on napisze, że się odnajdzie... Teraz na przykład twierdzi, że prawdopodobnie odsiaduje karę więzienia za nielegalne przekroczenie granicy... Pociesza się, jak umie... Jeszcze się martwi, ale już nie płacze. Ostatnio zdenerwował ją trochę ten wypadek z walizką. Pamięta pan?... Kiedy wsiadałem na statek?...

— Owszem, pamiętam. A co to się właściwie stało?

Stary kacetowiec zmieszał się, znowu spojrzał na mnie i zaczął jakoś nieśmiało:

— Bo z tą walizką, proszę pana — znowu się zawahał — to także nie jest tak, jak pan sądzi... To inaczej było...

— No?

— O tym, co teraz panu powiem, niech pan nie opowiada... Kiedy dziecko było już na świecie i mieliśmy już jechać do Anglii, córka moja zwierzyła mi się w największej tajemnicy, że ma pieniądze. I to znaczne. Sama nawet nie wie ile.. Dolary... grube tysiące... A oprócz tego ma także dwa woreczki... — słyszy pan — dwa woreczki brylantów. Zdrętwiałem z przerażenia, gdy mi o tym mówiła. Od razu przecież wiedziałem, skąd się one wzięły. Ten kat grabił, zdzierał z trupów.

— A jak on to tłumaczył? Przecież musiał powiedzieć żonie, w jaki sposób zdobył taki majątek.

— Owszem — uśmiechnął się sarkastycznie — powiedział. Wymyślił bardzo sprytną bajeczkę. Wytłumaczył, że zaraz po wkroczeniu aliantów wprowadził się do jakiegoś opuszczonego mieszkania, które poprzednio zajmował dygnitarz partyjny. Przy zakładaniu instalacji elektrycznej natknął się w murze na skrytkę... Dla młodej naiwnej dziewczyny, w dodatku zakochanej, takie wyjaśnienie było zupełnie wystarczające.

— I co się stało z tym skarbem?

— Nic — odpowiedział zimno. — Wpadł do morza. Przepadł.

— Ach tak... — nie mogłem powstrzymać okrzyku. — Teraz to już wszystko rozumiem.

— To jest drobiazg, proszę pana — skrzywił się niechętnie — przepadło i chwała Bogu. W innej sprawie chciałem się poradzić.

— Słucham.

— Chodzi mi o to biedne, niewinne dziecko. Przyszło na świat i na całe szczęście nigdy nie będzie wiedziało, jakiego miało ojca. Pozostawił on jednak nazwisko, na pewno fałszywe... Teraz zachodzi pytanie, czy kiedyś w przyszłości sprawa się nie wyda.

— Nie rozumiem — przerwałem mu —. — O co panu chodzi?

Starzec zasępił się:

— Ciągle się boję, że kiedyś odnajdą tam w górach jego trupa, a wtedy zaczną badać papiery, które znajdą przy nim. Okaże się, że są sfałszowane, zaczną zbierać informacje... I tak powoli zainteresują się i córką i dzieckiem...

— Nie, nieprzypuszczam — uspokajałem go. — Nawet jeśli znajdą przy nim paszport, to najwyżej spiszą protokół i to wszystko. Co najwyżej mogą zawiadomić pańską córkę. Ale i takiej komplikacji nie przewiduję. Musiałby zajść wyjątkowo złośliwy zbieg okoliczności. Los...

— Los? — przerwał mi. —

Na marginesie wydarzeń: Kontrofensywa amerykańska

Na otwartej w Nowym Jorku sesji walnego Zgromadzenia ONZ St. Zjedn. mają zamiar przejść do wyraźnej kontrofensywy w swej rozgrywce z Rosją. Zostało to niemal oficjalnie zapowiedziane w niedawnym przemówieniu p. Marshalla, kiedy zapowiedział szybką akcję w sprawach poważnych na płaszczyźnie politycznej i bezpieczeństwa".

Punktem centralnym tego działania będzie Grecja. Amerykański sekretarz stanu nie owijając sprawy w bawełnę oznajmił to w kilku słowach: „Jesteśmy szczególnie zaniepokojeni udzielaniem przez Jugosławię, Albanię i Bułgarię pomocy i poparcia powstańcom w Grecji, gdyż to oznacza bezpośrednie zagrożenie całości terytorialnej oraz niepodległości politycznej tego kraju".

Dla poparcia tego stanowiska amerykański Departament Stanu wydał „Białą Księgę", która na 100 stronicach oskarża Rosję o „udaremnianie wykonania woli przeważającej większości członków Rady Bezpieczeństwa ONZ" i pomawia również Jugosławię, Bułgarię i Albanię o „sabotaż" oraz utrudnianie działalności komisji bałkańskiej ONZ. Zapowiedziana akcja amerykańska w sprawie Grecji ma oznaczać dalsze stosowanie poglądu, wyrażonego przez przedstawiciela St. Zjednoczonych w ONZ. p. Herschela Johnsona, który, jak przypominamy, powiedział: „St. Zjednoczone nie zawahają się wyczerpać wszystkich dostępnych środków w ramach karty ONZ. dla utrzymania pokoju międzynarodowego i przyznania Grecji wszelkiej pomocy, jakiej będzie mogła potrzebować w przyszłości".

Drugim ważniejszym punktem rozgrywki amerykańsko-sowieckiej będzie sprawa „veto" w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Amerykański sekretarz stanu powiedział co prawda, że choć nie będzie się sprzeciwiał każdej propozycji rewizji paktu ONZ, to przecież nie uważa za konieczne przeprowadzanie większych zmian w ogólnej budowie tej organizacji. Ale natomiast zapowiedział, że St. Zjedn. sprzeciwiać się będą taktyce sabotowania działalności ONZ za pomocą nadużywania prawa veto. „Trudno w to uwierzyć — mówił p. Marshall — by członkowie ONZ. mogli w sposób świadomy dążyć do zniszczenia jej budowy przez uporczywe działania napastnicze oraz przez stosowanie obstrukcji, prowadzącej do sparaliżowania głównych członów tej organizacji".

Trzecią sprawą, którą St. Zjedn. zamierzają wysunąć bardzo zdecydowanie, będzie zagadnienie Korei i niemożliwości wypełnienia wobec tego kraju przyrzeczenia udzielenia mu niepodległości.

Czwartym zagadnieniem, z którym prawdopodobnie wystąpią St. Zjednoczone będzie los narodów Środkowo-Europejskich, znajdujących się pod jarzmem Rosji. Tutaj sprawa węgierska ma być potraktowana przykładowo i to bardzo ostro. Wypłynie ona z okazji wprowadzenia Węgier do ONZ.

Wreszcie jako piąte główne zagadnienie bojowe wysunie się sprawa kontroli nad energią atomową.

Amerykański Departament Stanu dlatego właśnie wybrał walne zgromadzenie ONZ dla podjęcia kontrofensywy, gdyż „veto" Rosji nie obowiązuje w tym zespole, a choć walne zgromadzenie może tylko podejmować w sprawach politycznych „zalecenia", które muszą uzyskać zatwierdzenie Rady Bezpieczeństwa, to przecież ich efekt moralny i propagandowy będzie bardzo duży.

Waszyngtoński korespondent londyńskiego „Timesa", donosząc o tych sprawach, stwierdzał, że ta ofensywna taktyka zarysowała się zaraz po dojściu do władzy p. Marshalla, który, jak pisze „pozostał żołnierzem", na swym stanowisku, gdy jego poprzednik p. Byrnes był jeszcze człowiekiem politycznych kompromisów. Ten duch ofensywny zaczął wyrażać się w bombardowaniu Rosji i jej satelitów notami protestującymi w różnych sprawach. Wysyłano ich przeciętnie jedną dziennie. Doprowadziło to do wytworzenia stanu „białej wojny", która trwa do dnia dzisiejszego. Objawem znamiennym jest, że ta ofensywna polityka posiada pełne poparcie przeważającej większości społeczeństwa amerykańskiego.

„Nie ulega wątpliwości — pisze korespondent „Timesa" — że polityka oporu wobec Rosji posiada poparcie znacznej większości amerykańskiego społeczeństwa. Można nawet powiedzieć, że to społeczeństwo ustala wytyczne tej polityki. Słabością jednak amerykańskiego życia politycznego jest to, że społeczeństwo rzadko kiedy zdaje sobie sprawę z kosztów prowadzenia polityki przez niego obranej i ma zawsze możność zatrzymania jej wykonania... P. Marshall ma obowiązek tłumaczenia krajowi, że koszta wykonania jego programu politycznego, choć poważne, będą jednak mniejsze od strat, jakie przyniósłby chaos w Europie. Dziesięć lat temu byłoby rzeczą śmieszne przewidywać, że uda mu się to osiągnąć. Ale dziś już nie".

Nie chcemy przesądzać, jakie da wyniki kontrofensywa amerykańska. Jest ona w każdym razie wyrazem zaostrzającej się stale sytuacji międzynarodowej, z czego wszyscy powinni sobie trzeźwo zdawać sprawę. Celem bezpośrednim tej akcji będzie pozyskanie opinii światowej oraz większości państw należących do ONZ, dla wytycznych polityki amerykańskiej. Inaczej mówiąc będzie to oznaczało przystąpienie do budowy wielkiej koalicji antysowieckiej, o ile się da w ramach ONZ. St. Zjednoczone zjawiają się na zebraniu ONZ z paktem przymierza wszystkich państw amerykańskich. Obecnie będzie im chodziło o zdobycie dla siebie głosów mocarstw pozostałych, wśród których pierwsze miejsce zajmują państwa Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, a następnie Francja.

Oś Paryż - Waszyngton

Na otwarcie walnego zebrania O. Narodów Zjednoczonych nie wybrał się ani p. Mołotow, ani p. Bevin. Na razie nawet w ogóle ich wyjazd do Ameryki nie jest przewidziany. Natomiast zapowiedziano, że na zjazd ONZ udaje się p. Bidault, francuski min. spraw zagranicznych. Jest to wypadek, który zasługuje na uwagę, gdyż świadczy o dalszym zbliżaniu się Francji do St. Zjednoczonych. Wiadomo bowiem powszechnie, że p. Bidault jedzie do Ameryki nie tyle dla spraw ONZ, ile dla rozmów z decydującymi czynnikami St. Zjednoczonych.

Oczywiście zmusza do tego Francję jej katastrofalne położenie gospodarcze. Francja potrzebuje gwałtownie od St. Zjednoczonych zarówno dolarów, jak i zboża. Sygnałami alarmującymi są zwyżka obiegu biletów Banku Francuskiego o 15 miliardów w ciągu jednego tygodnia i alarmujące oświadczenie ambasadora francuskiego w St. Zjedn. p. Bonneta, wobec p. Marshalla, że jeżeli przed styczniem Francja nie otrzyma 500.000 ton zboża, poza 850.000 ton przyznanych już jej przez komitet zbożowy w Winnipeg, przydział chleba we Francji będzie musiał być znowu obniżony, co może wywołać jeszcze gwałtowniejsze niepokoje społeczne. Wszystko to świadczy, że Francja bez pomocy St. Zjednoczonych obejść się nie może. Co prawda Amerykanie w rozmowach z Francuzami zwrócili już im uwagę, zapytując dlaczego obsiane obszary we Francji są obecnie o 30% mniejsze niż w r. 1939, to przecież w Waszyngtonie dobrze zdają sobie sprawę, że jeżeli Francja mimo wszystko pomocy nie otrzyma, wpadnie w ręce komunistów.

Na tym więc tle ratowania gospodarki i finansów francuskich (do czego niewątpliwie przyczyniły się błędy polityki francuskiej, zastraszająca ucieczka Francuzów od roli, niechęć do pracy fizycznej, nieumiejętność wykorzystania pracy emigrantów) jak i na tle obawy przed komunistami rodzi się oś Paryż-Waszyngton. Na początku tego roku bardzo szeroko omawiana była w prasie francuskiej i angielskiej inna oś: Londynu i Paryża. Założeniem jej było również między innymi wspólne przeciwstawienie się groźbie czerwonego totalizmu. Jednocześnie wszakże celem tej osi była obrona niezależności Europy Zachodniej również wobec tzw. kapitalizmu amerykańskiego. Dokoła osi Londyn-Paryż miał się zgrupować ów „trzeci front" narodów przyjaznych co prawda St. Zjednoczonym, ale utrzymujących w stosunku do nich maksimum niezależności.

Wydarzenia ostatniego półrocza, jak się zdaje, przekreśliły już te zamierzenia. Wypadki idą znacznie szybciej, niż to się wydaje ludziom obserwującym je z jednostronnego i ciasnego punktu widzenia. Francja, chcąc nie chcąc, musi swą politykę oprzeć na Waszyngtonie, o ile chce uniknąć innej osi: Paryż-Moskwa. Taka jest rzeczywistość, która stanęła nie tylko wobec Francji, ale i Włoch, i która stanie niebawem wobec innych narodów europejskich. Kto tej rzeczywistości nie widzi, kto snuje systemy i przewidywania polityczne oparte na innych wyobraźniach, ten ulega zupełnemu złudzeniu.

Należy tu nadmienić, że w uwagach p. Claytona, amerykańskiego podsekretarza dla spraw gospodarczych, który odrzucił pierwszy projekt sprawozdania konferencji 16 państw europejskich w Paryżu w sprawie planu Marshalla, znajduje się uwaga przewidująca ustanowienie pewnej kontroli międzynarodowej nad gospodarką tymi kredytami, które St. Zjednoczone przyznają państwom europejskim. Oto rzeczywistość...

Taktyka W. Brytanii

(p) Na tle wzrastającego napięcia stosunków amerykańsko-sowieckich, rozgrywka pomiędzy W. Brytanią i St. Zjednoczonymi przybiera coraz wyraźniej na sile. Od jej wyniku zależeć będzie „ustawienie się" mocarstw w nowej, obfitującej w znaki zapytania sytuacji.

W rozgrywce tej widać — po stronie brytyjskiej—jednocześnie przeświadczenie o konieczności bliskiej współpracy z Ameryką i dążenie do uzyskania możliwie najkorzystniejszych warunków. Widać chęć uzyskania pomocy z jednoczesnym staraniem utrzymania korzyści, jakie daje istotnie system wzajemnych przywilejów w łonie Wspólnoty Brytyjskiej. Widać dążenie do zabezpieczenia sobie oparcia w sile St. Zjednoczonych w razie potrzeby i jednocześnie do utrzymania się zdala od niebezpieczeństwa w chwili, gdy W. Brytania nie jest jeszcze przygotowana do stawienia mu czoła. Widać w związku z tym chęć utrzymania się w pozycji „neutralnej" — jednak nie tak dalece, aby Amerykanie mogli zwątpić o W. Brytanii i pomyśleć o regulowaniu na własną rękę stosunków z Sowietami.

Te sprzeczne z pozoru ale w istocie wzajemnie uzupełniające się dążenia przejawiły się ostatnio w całej serii wydarzeń, świadczących zarówno o brytyjsko-amerykańskiej współpracy jak i o brytyjsko-amerykańskim współzawodnictwie. A więc:

„NIERÓWNY" PARTNER

Ogłoszenie tajnego sprawozdania, jakie zredagował p. George Kennan po powrocie z Europy dla członków parlamentarnych komisyj spraw zagranicznych, może być uważane za odpowiedź na „antyamerykańskie" przemówienie p. Bevina w Southport. Powiedziano m.in. w tym sprawozdaniu, że W. Brytania nie może już więcej być uważana za „równego partnera" w wielkiej trójce, jest jednak partnerem potrzebującym pomocy.

Wystosowanie przez amerykańskiego podsekretarza Stanu p. Clayton'a do paryskiej komisji europejskiej (opracowującej propozycje w związku z planem Marshall'a) — wezwania do „przerobienia" tych propozycji w myśl życzeń amerykańskich — jest w pewnym znaczeniu osłabieniem przewództwa brytyjskiego w tych pracach. W. Brytania, jak wiadomo, odniosła się do planu marshallowskiego sceptycznie (po początkowych objawach entuzjazmu). Z dużą rezerwą potraktowano w Londynie popierany przez Amerykanów projekt europejskiej unii celnej, wysuwając w odpowiedzi projekt unii celnej Wspólnoty Brytyjskiej (nie mający jednak, w obecnej chwili, szans urzeczywistnienia). Brytyjczycy nie chcą kłopotliwego wiązania się z Europą, choć chcą zachować w Europie swe wpływy. Chcą być „pierwszym w ogonku" w otrzymywaniu pomocy amerykańskiej dla Europy i sprawa ta jest zapewne jednym z tematów rozmów, toczących się obecnie w Londynie z sekretarzem Skarbu St. Zjedn. p. Snyderem.

PERSKIE I INNE ROZBIEŻNOŚCI

Sprzeczności brytyjsko-amerykańskie wystąpiły i na innych terenach. Tak np. w chwili, gdy rząd amerykański zarządził wstrzymanie wszelkich wyjazdów obywateli St. Zjednoczonych (łącznie z korespondentami pism) do Jugosławii — w Londynie podano obszerne wiadomości o przyjaznych rozmowach gen. Sir James'a Steel'a, dowódcy wojsk brytyjskich i szefa brytyjskiej administracji w Austrii z szefem rządu jugosłowiańskiego marsz. Tito.

Szczególną jednak uwagę zwróciły owe rozbieżności z okazji nowego nacisku sowieckiego na Persję, w sprawie naftowej.

Chodzi o wykonanie porozumienia, zawartego przez Persów w 1946 r. pod przymusem, a przewidującego stworzenie sowiecko-perskiego towarzystwa naftowego, w którym rząd sowiecki miałby 51 pct. akcji przez 25 lat. W tej chwili przewiduje się, że parlament perski odmówi zgody na zatwierdzenie tej umowy.

Wobec nowego nacisku dyplomatycznego ze strony Sowietów i krążących wiadomości o sowieckich manewrach nadgranicznych, ambasador amerykański w Teheranie oświadczył, że Ameryka bronić będzie „swobody wyboru", przysługującego Persji, uzależniając tę pomoc od „stopnia stanowczości, z jaką Persja bronić będzie swej suwerenności". Jednocześnie ze strony amerykańskiej dano do zrozumienia, że odmowa zatwierdzenia umowy z Sowietami z r. 1946 byłaby przyjęta w Waszyngtonie z zadowoleniem.

W sprawie tej dyplomacja brytyjska zajęła inne stanowisko i ambasador W. Brytanii w Teheranie miał doradzić rządowi perskiemu, aby w każdym razie „pozostawił drzwi otwarte". Wprawdzie premier perski p. Quovam-es-Sultaneh zaprzeczył wiadomościom o brytyjskich radach, jednak rzecznik ambasady amerykańskiej wyraził ubolewanie z powodu stanowiska zajętego przez ambasadę brytyjską.

WSPÓLNE KŁOPOTY

Jednocześnie z toczącą się, na froncie finansowym i dyplomatycznym, rozgrywką brytyjsko-amerykańską, należy zanotować i objawy ścisłej współpracy, której wyrazem jest m.in. zawarte ostatnio porozumienie w sprawie Zagłębia Ruhry. Porozumienie to, które nazwał ktoś „przyłączeniem Ruhry do St. Zjednoczonych" przyjęto w Londynie z zadowoleniem, gdyż przerzuca ono na Amerykanów część kosztów, ponoszonych przez rząd brytyjski i daje pewne nadzieje na poparcie w pozostałej części strefy brytyjskiej.

Zresztą jakkolwiek dyplomacja brytyjska zajmuje się obecnie „amortyzowaniem" napięcia amerykańsko-sowieckiego, widząc w tym dla siebie możliwość uzyskania korzyści — jednak w Londynie stale się przypomina, że niebezpieczeństwo sowieckie jest wspólnym niebezpieczeństwem — dla W. Brytanii i dla St. Zjednoczonych — usiłując podnieść stosunkową wartość współpracy brytyjskiej. Socjalistyczna „Tribune" konsekwentnie przypomina argument wojskowy, w związku ze słabymi wynikami ochotniczego werbunku w Stanach i pisze:

„Armia brytyjska w Europie i na Środkowym Wschodzie wypełnia zatem nadal lukę w amerykańskich wojskowych stanach ilościowych. Czyż więc można się dziwić, że w Waszyngtonie mało widać entuzjazmu dla wszelkich projektów ostatecznego opuszczenia przez Brytyjczyków Grecji, a możliwego opuszczenia przez Brytyjczyków Egiptu i Palestyny? Jak dotychczas, wojska te były uważane, słusznie czy niesłusznie, za wojska przeznaczone do obrony brytyjskich — oraz amerykańskich interesów na Środk. Wschodzie. Któż obecnie mógłby przejąć ich zadania?".

Należy przypuszczać, że ostatnie wiadomości o zamierzonym (choć jeszcze nie postanowionym) dalszym, wydatnym zmniejszeniu wydatków wojskowych, a nawet o takich cięciach, które zmusiłyby flotę brytyjską do opuszczenia szeregu pozycji na Dalekim (Singapore, Hong-Kong) i na Środk. Wschodzie — powinny odbić się należytym alarmem w Waszyngtonie. Bo na utrzymanie wojska i marynarki trzeba dużo, b. dużo pieniędzy. A p. Snyder jest właśnie w Londynie.

KU ZAŁATWIENIU SPRAWY GRECJI

Wartość współpracy brytyjskiej powinna być tym lepiej oceniona — tak wydają się myśleć w Londynie — że Amerykanie coraz wyraźniej „aktywizują" swą działalność na obszarze śródziemnomorskim. „Przybyliśmy tu po to — aby tu pozostać"—oświadczył dowódca floty amerykańskiej, która właśnie zawinęła do Włoch. Przede wszystkim widać dążenie do załatwienia wreszcie sprawy greckiej.

Z dawna oczekiwane utworzenie z Grecji koalicyjnego rządu pod przewodnictwem p. Sofulisa, daje obecnie lepsze podstawy polityczne dla akcji amerykańskiej. Ogłoszono amnestię dla wszystkich, którzy złożą broń w ciągu miesiąca. Otwarto bramy więzień politycznych. Ale słowa p. Sofulisa, przywódcy liberalnej lewicy, którego nikt nie może podejrzewać o reakcyjność są stanowcze. „Nie przyjmiemy żadnych warunków" — odpowiedział przywódcy partyzantów Markosowi.

Według wiadomości, podanych przez Reutera, rząd Stanów Zjedn. zamierza oddać swe wojska do rozporządzenia ONZ „dla przywrócenia pokoju i bezpieczeństwa w Grecji północnej". Jeżeli wiadomość ta okaże się ścisła, to na rozpoczętym we wtorek Zgromadzeniu ONZ będzie to otwartym wyzwaniem, rzuconym sowieckim mącicielom pokoju. Toteż nic dziwnego, że — jak doniósł korespondent „Sunday Times'a" — ze strony sowieckiej miano zaproponować porzucenie zamierzonych ataków na gen. Franco wzamian za... ciszę w sprawie greckiej.

Jednym z dowodów napięcia, istniejącego obecnie na Bałkanach, jest wiadomość, że koncern Royal-Dutch-Shell postanowił wycofać wszystkich swych brytyjskich i holenderskich pracowników ze swych kopalń naftowych w Rumunii. Jest to — jak słychać — zapowiedź zupełnego wycofania się z działalności, uniemożliwionej od pewnego czasu przez nieporozumienia z robotnikami, wszczynane przez komunistów i wrogą postawę rządu p. Grozy. Większą część produkcji kopalń rumuńskich zabierają Rosjanie, płacąc ok. 1/4 ceny rynkowej, podczas gdy W. Brytania nie otrzymała nic, od chwili zakończenia działań wojennych.

NASTĘPNY ETAP?

P. Walter Lippmann od dłuższego czasu zachowywał ciszę i jego artykułów nie było w „New York Daily Herald"zie. Toteż duże zainteresowanie wywołały nowe — po przerwie — wystąpienia tego b. miarodajnego publicysty, który zwykł „podawać ton" przed ważnymi wydarzeniami w amerykańskiej dyplomacji.

Obecnie wystąpił p. Lippmann z krytyką słynnego już artykułu w kwartalniku „Foreign Affairs", podpisanego literą X, a przypisywanego p. Kennanowi, szefowi planowania w Departamencie Stanu. P. Lippmann nie atakuje bynajmniej zasadniczych tez p. X ani ustalonej przez niego diagnozy stosunków amerykańsko-sowieckich, ani jego negatywnego poglądu na światową rolę polityki sowieckiej. Natomiast obawia się, że w razie przyjęcia wszystkich tez p. X, dotyczących kierunku polityki amerykańskiej (wyczekiwanie na dogodną chwilę w wypadku wewnętrznego chaosu w Sowietach przy zmianie grupy rządzącej) — „przybędziemy zbyt późno ze zbyt małą siłą do przeciwstawienia. Przyjęcie końcowych tez p. X oznaczałoby, zdaniem p. Lippmanna — dziesięć do piętnastu lat wyczekiwania z pozostawieniem inicjatywy Moskwie, rozporządzającej systemem centralnie kierowanym. Powołując się na przykład Grecji, p. Lippmann radzi unikać wiązania się na „poszczególnych odcinkach" w których rozstrzyga piechota, a nie środki wojskowe, dające przewagę St. Zjednoczonym m.in. flota:

Premier grecki i przywódca partii liberałów Sofulis w rozmowie z korespondentem „Orła Białego"

„... Amerykańska siła wojskowa nie nadaje się zwłaszcza do polityki przytrzymywania, którą narzucać trzeba uparcie i cierpliwie przez czas nieokreślony. Gdyby Zw. Sowiecki był wyspą, tak jak Japonia, taka polityka mogłaby być narzucona przez amerykańską siłę morską i lotniczą. Stany Zjednoczone mogłyby, bez wielkich trudności, narzucić blokadę. Ale Zw. Sowiecki musi być na lądzie, więc „utrzymywanie linii jest rodzajem wojny okopowej.

„Ale duch amerykańskiej siły wojskowej nie polega na utrzymywaniu pozycji na czas nieokreślony. Wymaga to masowej cierpliwości ze strony wielkich hord potulnych ludzi. Amerykańską siłę wojskową cechuje jej ruchliwość, jej szybkość, jej ład i jej ofensywna siła uderzeniowa. Nie jest ona więc skutecznym narzędziem dyplomatycznej polityki przytrzymywania. Może ona być tylko narzędziem polityki, której celem jest rozstrzygnięcie i załatwienie.

„Amerykanie byliby prawdopodobnie sami zmęczeni polityką p. X na długo przed Rosjanami".

P. Lippmann zapowiada ogłoszenie proponowanych poprawek.

EUROPA MIMO WSZYSTKO

Po powrocie z Rio, p. Marshall złożył zwięzłe oświadczenie w sprawie pomocy dla Europy. Powiedział, że wiadomości z Europy przekonały go o konieczności pomocy natychmiastowej. Już w końcu października będzie rozporządzał danymi, które mu pozwolą poczynić Kongresowi odpowiednie propozycje. Toteż „plan Marshall'a" musi być podzielony na dwie części: pomoc tymczasowa, aby Europa nie zginęła z głodu i pomoc na czas dłuższy, dla odbudowy gospodarki europejskiej.

Wnioski dla tej drugiej części „planu Marshall'a" miały przygotować zainteresowane kraje europejskie na konferencji paryskiej. Jednak dotychczasowe wyniki ich pracy poddał ostrej krytyce p. Clayton, amerykański podsekretarz Stanu. To co panowie przygotowali — powiedział — to jest lista zakupów, a nie projekt odbudowy Europy. A co mają panowie zamiar uczynić, aby pomóc sobie samym? Co będzie, gdy zakupy się skończą? I czy nie za wiele chcą panowie kupować od razu?

Przede wszystkim jednak zwrócił p. Clayton uwagę na to, że projekty paryskie zbyt wiele zajmują się potrzebami poszczególnych krajów, a zbyt mało dają wyraz jedności europejskiej. Europa zjednoczona — tym hasłem można rozpalić wyobraźnię Amerykanów, a nie zwykłą „listą zakupów" — wyjaśnił.

Dotychczasowe w tej dziedzinie próby nie obejmują całości. Jest świetny przykład „Beneluxu" — Belgii, Holandii i Luksemburga, które połączyły się unią celną. Toczą się w tym przedmiocie rozmowy między Francuzami i Włochami. Ale nikt nie potrafi narzucić wizji jedności europejskiej. Oczekiwano jej od Brytyjczyków. Ci jednak ustami p. Bevina odpowiedzieli, że Europa stanowi tylko „ćwierć" ich zainteresowań. Więc nie chcą się wiązać.

Nie chcecie Europy zjednoczonej? No więc my ją postaramy się wam dać—mówią Amerykanie. Wydawałoby się z pozoru, że w tym stanowisku jest nieco uproszczonej i nie licząc się ze złożonością zagadnień europejskich manii organizowania na swój sposób. Bo przecie czy można wymagać zbyt wiele od Europy w dzisiejszych warunkach?

Jednak konsekwencja, z jaką Amerykanie dążą do związania planu pomocy z ideą jedności europejskiej, zasługuje na baczną uwagę i zastanowienie. Nikt chyba nie żywi żadnych złudzeń co do możliwości natychmiastowego urzeczywistnienia jedności europejskiej. Ale nie w tym tkwi sedno sprawy. Ogłoszone ostatnio sprawozdanie Departamentu Stanu potwierdza to, na co ze strony amerykańskiej zwracano wielokrotnie uwagę mianowicie fakt, że „plan Marshall'a" nie został bynajmniej pomyślany jako pomoc dla stworzonego ad hoc stowarzyszenia niektórych krajów europejskich. W sprawozdaniu Dep. Stanu podkreślono konieczność włączenia Polski i Czechosłowacji do ogólnych planów europejskich. Wprawdzie — jak oświadczył wiceprezydent Banku Światowego p. Garner — „dziś nie można pomijać w tej sprawie czynnika politycznego i nie jest rzeczą obojętną czy dany rząd jest rządem wolnym, czy też gentem obcego mocarstwa" i dlatego kwota pożyczki dla Polski będzie zmniejszona. Jednak „plan Marshall'a" jest planem działania nie tylko na dziś. Na dziś, jego ogłoszenie dało sposobność do ustalenia „linii podziału", w chwili rozpoczęcia akcji. Jednocześnie jednak wskazuje opinii amerykańskiej kierunek działania na przyszłość. Jest zarazem stwierdzeniem konieczności zbudowania Europy zjednoczonej i hasłem, wskazującym Ameryce i Europie cel, dla którego warto wiele poświęcić.

CALVELEY'SKIE UCHO IGIELNE

(Dokończenie art. ze str. 1-szej)

która budzi szacunek. Tak postąpią ci, którzy decydują się na emigrację istotnie ze względów ideowych, ludzie, dla których nie ma alternatywy, żołnierze, którzy wierzą, że jedynym zdeklasowaniem hańbiącym jest odstąpienie od idei, której służyliśmy w szeregach przez tyle lat i na tylu kontynentach.

Jak wspominałem w prasie polskiej ukazało się wiele artykułów na tematy związane z P.K.P.R. Wszystkie te artykuły głoszą tezę, że inteligent powinien pracować fizycznie. Program szkolenia oficerów, który urzeczywistniony ma być na wielką skalę tej jesieni — przewiduje liczne kursy rzemiosł, rolnicze, ogrodnicze, hodowlane itp. Mówi się również wiele o polskich spółdzielniach zarobkowych. Ankiety przeprowadzone w obozach oficerskich, a mające na celu orientację, jakimi kapitałami rozporządzają przyszli udziałowcy — nie dały spodziewanych wyników. Czas biegnie i coraz częściej nawet oficerowie zajmujący etatowe stanowiska w Generalnym Inspektoracie P.K.P.R. w Londynie, wzywani są przez Labour Exchange i zapytywani: co zamierzają robić, gdy dwuletni termin służby dobiegnie końca.

Artykuły w polskiej prasie cytowane powyżej mają często posmak urzędowej propagandy z przyczyny, że piszący je ludzie sami z pracą fizyczną nie mają nic wspólnego. Wśród ogółu propagandówek takie budzą zrozumiały krytycyzm. Siedząc na „inteligenckiej" biurkowej posadzie łatwo jest innych wysyłać do pracy na roli, w kopalni, czy w fabryce. Łatwo jest również pojechać z Londynu do najbliższego hostelu i napisać rodzajowy, a rzewny reportaż o „znoju i trudzie" owych żołnierzy, pracujących w rolnictwie. Otóż, aby postawić jasno wypada stwierdzić, że piszący te słowa sam jest pracownikiem fizycznym.

W artykułach omawiających te sprawy pominięto jedno z zagadnień zasadniczych, które trudno jest dostrzec z ponad biurka. Zasadniczą trudnością nie jest wcale przekonać inteligenta, że musi się jąć pracy fizycznej, bo przekona go o tym wymownie rzeczywistość angielska. Zasadnicza trudność leży natomiast w tym, by przekonać angielskiego pracodawcę, że inteligent mimo uniwersyteckiego wykształcenia, zwykle niezbyt herkulesowej budowy, a często okularów na nosie — potrafi jednak pracować fizycznie. Mało zdaje sobie sprawę z uprzedzeń i przesądów, jakie zwalczyć musi inteligent, szukający pracy fizycznej. Ile razy usłyszy on po „zdekonspirowaniu się" zdanie: „To nie jest praca dla pana, dla człowieka z pańskim wykształceniem". Niedoszły pracodawca, mówiąc to mierzy spojrzeniem delikwenta, zatrzymując krytyczny wzrok na „białych" rękach kandydata na robotnika.

Przedsiębiorcy niechętnie odnoszą się do inteligentów, nie dowierzając ich wytrwałości i sile mięśni. Poza tym trzeba zdać sobie sprawę, że zatrudnienie inteligentów jako niewykwalifikowanych robotników stanowi zupełne „novum" na tutejszym terenie. Anglik, doktór filozofii, nie zmywa naczyń w restauracji, ani nie czyści elektroluxem dywanów w holach hotelowych. Polski inteligent szukający pracy fizycznej jest tu zjawiskiem bez uprzednich przykładów i bez tradycji. Bevin był wprawdzie robotnikiem, ale w chwili, gdy stał się inteligentem przestał być robotnikiem. Polski inteligent ubiegający się o pracę robotnika jest przykładem odwrotnego procesu.

Trzeba poczucia realizmu, aby spokojnie nie tylko pogodzić się z tym stanem rzeczy, ale wydobyć z siebie postawę czynną, która jest istotą przetrwania. Tylko nieliczne jednostki liczyć mogą na inną pracę niż fizyczną. Jeżeli pamięta się o przepisie, na którego mocy pracodawca zobowiązany jest zwolnić Polaka, gdy na jego miejsce zgłosi się Brytyjczyk — jasne jest, że polski inteligent nie może współzawodniczyć z Anglikiem w odniesieniu do wszystkich tak zwanych „lżejszych prac". A cóż mówić o stanowiskach „inteligenckich", to znaczy kierowniczych, gdzie w grę wchodzi doskonała znajomość języka, zwyczaju, ustawodawstwa i w pierwszym rzędzie rozległych stosunków osobistych?

Z drugiej strony trzeba powiedzieć, że jeżeli inteligent polski ma być robotnikiem, by przetrwać, to nigdzie nie znajdzie takiej ochrony pracy, jak w Anglii i nigdzie jako robotnik nie będzie tak dobrze zapłacony. Dlatego też nie jest żadnym lekarstwem na „inteligenckie zagadnienie" w Anglii emigracja do Argentyny, Paragwaju czy Brazylii. Inteligent nie rozporządzający większymi zasobami pieniężnymi w krajach tych znajdzie dla siebie znacznie gorsze warunki dla powtórnego startu życiowego niż w Anglii.

Zachód przeżywa epokę wielkiej przemiany. Dla większości ludzi proces tych przemian idzie tak szybko, że wymowa faktów przestaje być zrozumiała. To tak jakby odczyt mówił ktoś zbyt pospiesznie. Jak zawsze w okresach rewolucji mnożą się sprzeczności pozorne i prawdziwe. Nie wchodząc w tym artykule w analizę tych przemian powiedzmy ogólnie, że Anglia reprezentuje dziś zachodnią myśl europejską, a obecny jej kryzys jest między innymi walką o zachowanie niezależnego wyrazu kultury europejskiej i zachodniej. W tym dziele przebudowy inteligent polski jest solidarny z Anglią jak był z nią solidarny w okresie walki i obrony.

Juliusz Mieroszewski

SPRAWY POLSKIE

Były ambasador Bliss Lane o procesie krakowskim

W „New York Times" z dn. 10 września br. ukazał się następujący list b. ambasadora St. Zjednoczonych w Warszawie p. Bliss Lane:

„Dla każdego, kto ostatnio miał sposobność zaznajomić się z opanowaną przez Sowiety Europą wschodnią, nie będzie niespodzianką wiadomość, jaką przeczytał w pana piśmie z dn. 8 września a według której polski wojskowy prokurator w krakowskim procesie o szpiegostwo domagał się kary śmierci dla 10 z 13 oskarżonych.

„Według pana korespondenta dwóch z tych oskarżonych jest poważnymi członkami P.S.L., które zostało pokonane w oszukańczych wyborach z 19 stycznia, mimo że wyrażało ono wolę 90% wyborców.

„Jak dalece daje to przykład sowieckiej polityki we wszystkich krajach lennych, polityki zmierzającej do zniszczenia przy pomocy zmyślonych oskarżeń tych demokratycznych sił, które stawiają opór budowie komunistycznej odmiany państwa totalitarnego! Jeżeli oskarżenie może przy sposobności zohydzić St. Zjednoczone lub naszego przedstawiciela za granicą, to oczywiście tym lepiej.

„W tym wypadku oskarżeni łącznie ze St. Zjednoczonymi mieli utrzymywać „ponurą, szpiegowską sieć" w Polsce. Według pana korespondenta przysięgli, że sfałszowali wiele z tych materiałów, które mieli mnie przekazać, gdy byłem ambasadorem w Polsce i które miałem rzekomo zużyć „w ostatnich publikacjach i przemówieniach w St. Zjedn. przeciwko Polsce". Z niezliczonych innych wypadków można sobie wyobrazić, jakie szatańskie tortury zostały zastosowane wobec nieszczęsnych oskarżonych, aby wymusić tego rodzaju zeznania.

„Nasuwają się tu tragiczne wspomnienia procesu jugosłowiańskiego patrioty, gen. Draży Michajłowicza, ostatni wyrok śmierci wydany na przywódcę bułgarskiego Związku Rol. Petkowa, jak i aresztowania oraz zsyłki 16 polskich przywódców politycznych w marcu 1945 r. w tej samej chwili, kiedy czynione były wysiłki, by ustanowić polski rząd demokratyczny.

„Oczekiwałem oczywiście, że obecny rząd polski zaatakuje mnie za ujawnienie w różnych artykułach i przemówieniach metod stosowanych przez polskich komunistów, ażeby utrzymać się przy władzy w Polsce pod zaledwie stosowanymi pozorami praworządności. Brutalne zastraszenie, a w razie potrzeby niszczenie wszystkich opornych czynników w kraju, oto niektóre z tych metod.

„Ale nie spodziewałem się nawet ze strony tych, którzy, jak ich panowie w Moskwie, okazali już w przeszłości cyniczne nieposzanowanie prawdy, że polski ustrój będzie miał czelność twierdzić, że materiały na których oparłem ostatnie swoje prace pisarskie i przemówienia otrzymane były od sieci szpiegowskiej. Artykuł mój pod nagłówkiem: „Jak Rosja rządzi Polską" (Life z 14 lipca 1947) oparty był na bieżących wydarzeniach, które są znane wielu amerykańskim korespondentom prasowym w Polsce. Nie potrzeba było w tym celu uciekać się aż do szpiegów, nawet gdybym w sposób nierozsądny tego pragnął. Jak wiedzą o tym nasi korespondenci w Warszawie, wydałem swego czasu zarządzenia członkom naszej ambasady, że powinni oni unikać kontaktu z ruchem podziemnym, dlatego, że nie chciałem narażać na niebezpieczeństwo osoby nie sympatyzujące z polskim rządem. Z tego samego powodu nigdy w sposób świadomy nie utrzymywałem stosunków z przedstawicielami polskiego ruchu podziemnego.

„Żadne również moje przemówienie lub artykuł opracowany przeze mnie od chwili opuszczenia Polski nie był wymierzony „przeciw Polsce" lub przeciwko narodowi polskiemu. W istocie tematem moich uwag było twierdzenie, że polski naród i polski lud został zdradzony przez opanowaną przez Sowiety grupę rządzącą, która nie zważając na międzynarodowe zobowiązania, przyjęte zgodnie z postanowieniami Jałty i Poczdamu, i na najbardziej podstawowe zasady przyzwoitości zmierza do bezwstydnego i brutalnego zniszczenia wszystkich głosów wyrażających odmienne zdanie.

„Oskarżenia wymierzone w moją osobę są w same w sobie nieważne. Są one jednak interesujące przez to, że wskazują na stosowanie zwykłej czerwonej techniki: wniesienie przeciwko własnemu przeciwnikowi oskarżeń, którymi należy obciążyć odpowiedzialność oskarżyciela, a więc jego wrogości wobec narodu polskiego.

„Ubolewać należy, że pana korespondent w Warszawie p. Gruson, odegrał, mam nadzieję, że w sposób nieświadomy, grę polskich komunistów w swym doniesieniu z Warszawy w dn. 2 września, kiedy odwoływał się do głęboko zakorzenionego żalu wywołanego moimi „antypolskimi pracami pisarskimi i mowami". Istnieje straszliwa przepaść między polskim rządem a polskim ludem i każdy istotny przyjaciel polskiego narodu będzie zawsze przeprowadzał wyraźną różnicę między tymi dwoma czynnikami.

„Lecz ogłoszenie tej niestosownej korespondencji w „New York Times" mogłoby prowadzić niektórych czytelników do mniemania, że każdy kto atakuje tyranię marionetkowych rządów w Europie wschodniej jest „wrogiem ludu" lub „faszystą" by zastosować te najbardziej oklepane frazesy dyktowane obłudą.

(—) Artur Bliss Lane

Nowy Jork 6 września 1947.

Zebranie Dziennikarzy Polskich w brytyjskiej strefie okupacyjnej

Niedawno odbyło się w Osnabrück — Fernblich doroczne zebranie Syndykatu Dziennikarzy Polskich w brytyjskiej strefie okupacyjnej w Niemczech. Sprawozdanie składał prezes red. Nechay. Przewodniczył red. Wasiutyński.

W skład nowego zarządu weszli: jako przewodniczący — red Adam Nechay (powtórnie), red. Wacław Jankowski, red dr. Ignacy Józef Szemborowicz, red Jerzy Grot-Kwaśniewski, oraz red. Czesław Tarnowski. Dokonano również wyboru komisji rewizyjnej i sądu koleżeńskiego.

Walne zebranie uchwaliło wysłać depeszę do legalnych władz Rzplitej.

Uchwalono poza tym szereg wniosków, z których najważniejszy brzmi:

„Zjazd stwierdza, że prasa polska w Niemczech spotyka na przeszkody w pełnieniu swych obowiązków nie tylko ze strony czynników obcych, lecz również ze strony niektórych komendantów obozowych. Znajduje to wyraz w konfiskacie artykułów, a nawet notatek kronikarskich, które przedstawiają fakty prawdziwe. Znajduje to wyraz w nacisku na redaktorów, w uzurpowaniu sobie prawa cenzury prewencyjnej, itp. Zjazd dziennikarzy polskich strefy brytyjskiej protestuje w stanowczy sposób przeciwko podobnym praktykom i wzywa zarząd, by w przyszłości podobne wypadki piętnowane były publicznie".

„Wobec stwierdzonej propagandy antypolskiej, uprawianej celowo przez prasę niemiecką, zjazd wzywa wszystkich członków i wszystkich dziennikarzy polskich do starannej lektury prasy niemieckiej na swoich terenach i gromadzenia wycinków dotyczących Polaków. Wycinki te staną się podstawą do wystąpienia wobec najwyższych władz okupacyjnych z interwencją".

„Zjazd zwraca się do redaktorów polskich pism obozowych w Niemczech z wyrazami uznania za ich bezinteresowną obywatelską działalność".

Zawieszenie „Tygodnika Polskiego" w Nowym Jorku

W liście do czytelników redakcja „Tygodnika Polskiego" podała do wiadomości, że wydawnictwo ulega na czas nieograniczony zawieszeniu.

W dość szerokim wachlarzu prasy polskiej w St. Zjednoczonych „Tygodnik Polski" w ciągu sześciu lat swego istnienia wypracował sobie ton odrębny. Stojąc na stanowisku idei niepodległościowej zadania swe spełniał przede wszystkim na planie kulturalnym. W artykułach, reprodukcjach zabytków sztuki polskiej, w poezji i przedrukach dzieł klasyków literatury — ciągle stawiał przed oczy Polonii Amerykańskiej żywą obecność całego narodu, jego historii i wkładu do kultury europejskiej. Walczył także o pomoc materialną dla kraju, zduszonego obcym panowaniem. Jednym z najważniejszych celów, jakie pismo stawiało sobie w tym okresie swego istnienia było utrzymywanie łączności między wszystkimi ośrodkami polskimi, rozrzuconymi po szerokim świecie.

Mimo rosnących trudności rolę tę pełnił „Tygodnik Polski" do ostatka. Wierzymy, że zawieszenie wydawnictwa jest tylko chwilowe i że po przezwyciężeniu przeszkód pismo znowu stanie na froncie walki o polityczną niezależność Polski i o utrzymanie związku Polonii Amerykańskiej z narodem — zarówno w kraju jak i na obczyźnie — i jego konstytucyjnymi władzami.

„Plan Stalina" dla Polski

Niedawno na łamach „La Libre Belgique" ukazał się artykuł o Polsce, który zasługuje na baczniejszą uwagę. Jak się wydaje, artykuł jest wynikiem głębszych badań i obserwacji. Oto jego treść:

„Bandera rosyjska, pisze „La Libre Belgique", zajmuje w portach polskich zaledwie czwarte miejsce. Okręty rosyjskie przybywają tam tylko dla „ułatwienia" przewozu węgla polskiego, którego większa część jest wywożona do Rosji koleją. Morski transport rosyjski ma właściwie tylko charakter propagandowy, gdyż od czasu do czasu zdarza się, że okręty sowieckie przybywające po węgiel polski przywożą jakieś dostawy dla Polski, choć przeważnie zawijają one puste. Dostawy te obejmują zboże i naftę.

„Przybycie tak załadowanego okrętu sowieckiego witane jest wówczas przez propagandę w Polsce jako „szlachetny gest wielkiej sojuszniczki świadczący o jej niezłomnej przyjaźni dla Polski". Ale zdarza się nieraz, że ten sam towar wyładowany w porcie polskim, jest następnie znowu załadowany na statek rosyjski i z powrotem zabierany do Rosji. Oto jak Rosja wspiera swych przyjaciół... Rozporządza ona wszakże innymi jeszcze sposobami okazania swej szczodrobliwości.

„Co dwa tygodnie niemal z całą dokładnością dwa okręty rosyjskie, jeden o wyp. 5 tys. ton a drugi 3 tys. ton, przybijają do wybrzeży Nowego Portu w Gdańsku, by załadować zboże polskie. Co miesiąc sowiecki okręt-cysterna zabiera 3.000 ton nafty dla Rosji. Te dwa okręty sowieckie „Matros" i „Akademik Karpińskij", posiadają dokumenty wykazujące, że ich prawdziwy tonaż jest mniejszy o 700 ton." Różnica ta wywołała już wiele zajść między Polakami ładującymi węgiel i rosyjskimi kapitanami obu okrętów. Zajścia te zakończyły się oczywiście na niekorzyść Polaków, gdyż niemal zawsze agent NKWD lub agent polskiej UB (Bezpieki) wkraczał w tę sprawę, by usunąć Polaków z ich stanowisk pod pozorem, że działają niedemokratycznie i antysowiecko. Zajścia zatem ustały, ale kradzież węgla trwa.

„Czy kompetentne władze sowieckie wiedzą o tych nadużyciach? Niewątpliwie tak. Ograbianie i wykorzystywanie Polski na rzecz Rosji sowieckiej przeprowadzane jest według określonego planu i w zgodzie z władzami rządowymi Warszawy. Jest to „plan gospodarczy Stalina", zastosowany zarówno wobec Polski jak i wobec wszystkich innych krajów, znajdujących się pod wpływami sowieckimi. Plan ten przewiduje zresztą nie tylko bezpośredni wyzysk krajów lennych, ale i pośrednią eksploatację innych krajów za pośrednictwem krajów wyzyskiwanych bezpośrednio.

„W ten sposób Polska, ograbiana i eksploatowana przez Rosję, zmuszana jest do zawierania układów handlowych z krajami zachodnimi, które ze swej strony chce „nabrać", tak jak sama „nabierana" jest przez Rosję. Nie chodzi więc tu zupełnie o „otwarcie żelaznej kurtyny", ale o wykorzystanie planu starannie opracowanego, w którym państwa lenne w stosunku do Rosji grają rolę pośredników. Jeżeli uda im się „nabrać" ich partnerów z Zachodu uzyskują możliwość zabezpieczenia przed chciwością sowiecką również czegoś dla siebie. Układ handlowy polsko-szwedzki jest typowym przykładem tych metod.

„Układ ten został już ratyfikowany przez parlament szwedzki. Ale rozprawa, która poprzedziła ratyfikację, a przede wszystkim komentarz oficjalny komisji spraw zagranicznych Izby szwedzkiej, krytykujący układ w sposób rzadko spotykany w stosunkach między dwoma państwami, ujawnił kilka szczegółów tego nowego systemu grabieży za pośrednictwem. Mianowicie rząd warszawski wykorzystał położenie Szwecji, która potrzebuje węgla i koksu, by uzyskać od tego kraju bardzo wysokie ceny za ten towar. Członkowie polskiej delegacji handlowej oświadczyli więc z zimną krwią, że układ handlowy z r. 1945, choć nie był całkowicie wykonany, nie obowiązuje więcej Polski. Zamiast przewidzianych 6 milionów ton, Polska dostarczyła tylko 2.200.000 ton, podczas gdy Szwecja przekazała w całości obiecany kredyt na 100 milionów.

„Nowy układ polsko-szwedzki przewiduje dostarczenie 3 milionów ton węgla polskiego, w zamian za to Szwecja ma przyznać Polsce nowe kredyty. W ten sposób podatnik szwedzki ma zapłacić dwa razy za węgiel, którego jeszcze nie otrzymał i o którym nie wie, czy go dostanie, jak to podkreślał dziennik „Stockholm Tidningen".

„Prasa szwedzka nazywa posunięcia Warszawy „szantażem". Podkreśla ona poza tym, że krótkotrwałe zyski wymuszane przez Warszawę, są dowodem, że rząd tamtejszy prowadzi politykę grabieży, obliczoną na krótką metę i bez żadnego zaufania w swą trwałość. W praktyce Polska straci w przyszłości rynek szwedzki.

„Ten „układ oparty na szantażu" jak powszechnie nazywają w Szwecji ostatni układ handlowy z Polską, tak dalece obniżył sympatię dla Polski w opinii szwedzkiej, że ostatni zbiór odzieży i pieniędzy, podjęty na cele potrzebującej ludności polskiej, minął bez wyników.

Jednocześnie ludność polska zdziesiątkowana i zubożała przez wojnę, bezlitośnie ograbiana przez swych „wyzwolenców" okazuje niezwykłą moc pracy. W marcu 1947 produkcja węgla wzrosła w Polsce do 4.792.900 ton, czyli o 250.000 ton więcej niż w styczniu tego roku. Jeżeli Polska utrzyma się w tym wysiłku, przewyższy ona niebawem produkcję zagłębia Ruhry. Ale udział Polski w zaopatrzeniu w węgiel Europy był dotychczas bardzo ograniczony. Istotnie w 1946 r. całkowity wywóz polskiego węgla wynosił ok. 15 milionów ton i rozdzielał się w sposób następujący:

Związek Sowiecki	9.352.000
Szwecja	2.180.000
Dania	733.000
Francja	596.000
Norwegia	347.000
Szwajcaria	258.000
Sowiecka Strefa w Niemczech	542.000

„W istocie więc 62% wywozu polskiego węgla zostało zastrzeżone dla Rosji, bogatej przecież w węgiel własny, a tylko 38% dla innych krajów europejskich. Nie wiadomo dokładnie, co Polska otrzymała od Związku Sowieckiego za swój węgiel (na pewno niewiele), wiadomo natomiast, że gdyby mogła ona wywieźć 20 milionów ton rocznie (a mogłaby to uczynić z łatwością) do innych państw europejskich i uzyskać od nich cenę, która była jej przyznana przez Europejską Komisję Węglową, tzn. 10 dolarów za tonę, mogłaby otrzymać rocznie równowartość 200 milionów dolarów. Suma ta umożliwiałaby jej zakup surowców i maszyn potrzebnych do urzeczywistnienia planu odbudowy i uprzemysłowienia kraju.

Plan polski wydobycia węgla przewiduje na rok 1947—57.500.000 ton, a na rok 1948—70.000.000 ton. Gdyby w ciągu tych dwóch lat Związek Sowiecki zgodził się nie podwyższać swych żądań w sprawie dostawy węgla polskiego, Polska mogłaby z łatwością odbudować się sama, niemal bez żadnej pomocy z zewnątrz, a jedynie dzięki swemu węglowi. Mogłaby ona stać się dla innych krajów europejskich partnerem potężnym i cennym przy wykonaniu planu Marshalla i to z korzyścią tak dla siebie, jak i dla innych państw. Oto dlaczego organ oficjalny rządu warszawskiego, dziennik „Rzeczpospolita", z dnia 4 lipca 1947 r. nie odmawiając brutalnie udziału Polski w planie Marshalla, pisał jednak ostrożnie: „Państwa europejskie za wyjątkiem Niemiec, Hiszpanii i Grecji mogą wypracować plan współpracy gospodarczej, pod warunkiem, że różnice w poglądach politycznych i gospodarczych między tymi państwami będą uznane i że każdy kraj będzie mógł zachować prawo decyzji, jeśli chodzi o jego własną gospodarkę".

Lecz przeciw planowi Marshalla powstał plan Stalina. Założeniem zaś tego planu jest grabież i eksploatacja państw lennych i zmuszanie ich ze swej strony do „nabierania" innych. Zapewne to właśnie dziennik polski nazywa „prawem decyzji jeśli chodzi o własną gospodarkę".

Do tych ocen katolickiego pisma belgijskiego o Polsce, należy dodać uwagę, która ukazała się na łamach, tym razem socjalistycznego dziennika w Brukseli „Le Peuple". Pisząc o stosunkach handlowych belgijsko-polskich, pismo to stwierdzało:

„Układ handlowy zawarty przed rokiem i właśnie wygasły 31 sierpnia br. dał niewielkie wyniki. Istotnie Polacy dostarczyli towaru wartości przekraczającej zaledwie 1 milion franków. Nie można więc było wytworzyć rezewy dla zabezpieczenia ewentualnych dostaw belgijskich. Niektóre dostawy węgla polskiego nastąpiły poza ramami układu handlowego. Wypłaty dokonywane są w dolarach. Wydaje się, że Polska jest niezdolna obecnie do prowadzenia polityki wywozu. Żądane ceny za jej towary są na ogół zbyt wysokie na rynek belgijski. Polska poszukuje przede wszystkim kredytów".

Oto jakie poglądy panują dziś w Europie o Polsce jako o partnerze handlowym.

Dzieci polskie w Hiszpanii

W związku z nieprawdziwymi wiadomościami, jakie w prasie reżimu warszawskiego ukazują się na temat warunków, w jakich żyje grupa dzieci polskich w Hiszpanii, otrzymaliśmy z Madrytu od delegata Towarzystwa Pomocy Polakom w Hiszpanii następujące oświadczenie:

Pewna grupa dzieci, sierot polskich, wydobytych z niemieckich domów i instytucji przez delegatów P.C.K. na terenie Niemiec i Austrii z chwilą rozwiązania 2. Korpusu znalazła opiekę i schronienie w Hiszpanii, dzięki ówczesnej humanitarnej inicjatywie rządu hiszpańskiego przyjęcia 50.000 dzieci z państw najbardziej poszkodowanych przez wypadki wojenne.

Po przybyciu do Hiszpanii w r. 1946 dzieci te zostały umieszczone w dwóch willach pod Barceloną, przystosowanych do tego celu według nowoczesnych wymagań komfortu i higieny. Z dziećmi przybył fachowy, wychowawczy personel polski.

Polska opieka szkolna nad dziećmi została natychmiast zorganizowana przez właściwe władze polskie, które powierzyły ją polskim siłom nauczycielskim. Sprawozdanie szkolne za rok 1946/47 Polskiej Rady Pedagogicznej w Barcelonie, czuwającej nad ogólnym kierunkiem wychowawczym, wskazuje, że dzieci poczyniły wielkie postępy we wszystkich zakresach, szczególnie w języku polskim, który wiele z nich niemal całkowicie zapomniało na skutek przymusowego pobytu w Niemczech. Opiekę religijną nad dziećmi sprawuje dwóch księży polskich, przydzielonych specjalnie do oświatka polskiego, bardzo oddanych tej pracy. W roku bieżącym odbyły się uroczystości w związku z przystąpieniem tych dzieci do sakramentów komunii świętej i bierzmowania.

Dzieci są odżywiane starannie. Sprawozdania opieki lekarskiej wskazują, iż przyrost na wadze dzieci w ciągu ostatniego roku wynosi przeciętnie dla chłopców 3.700 kg., dla dziewczynek 3.900. Dzieci są stale zaopatrywane w bieliznę, odzież i obuwie. Opieka lekarska jest zapewniona i wszystkie wiadomości o epidemiach i chorobach są zmyślone. W okresie letnim dzieci mają możność spędzania kilku tygodni nad morzem.

Pobyt grupy dzieci polskich w Hiszpanii nie był nigdy i nie jest przewidziany jako stały. W miarę odnajdywania rodziców lub bliskich krewnych, przygotowywana jest na ich życzenie repatriacja zainteresowanych. Te, które pozostają, będą mogły nadal korzystać z bardzo dobrych warunków, tak w dziedzinie wychowania w duchu polskim, jak również wykształcenia.

Anglia wobec zatargu amerykańsko - sowieckiego

Dość znamienne dla chwili obecnej są artykuły w prasie światowej, poświęcone zagadnieniu zachowania się poszczególnych narodów na wypadek zaostrzenia się stosunków amerykańsko-sowieckich. Notowaliśmy już głosy dużego belgijskiego pisma „Le Soir", który stwierdzał, że Belgia nie będzie mogła w tym zatargu zachować neutralności. Obecnie warto zaznajomić się z poglądem p. C. Fallsa, profesora uniwersytetu w Oxford, który na łamach „The Illustrated London News" ujmuje to zagadnienie z punktu widzenia polityki brytyjskiej.

Autor zaznacza, że stosunki amerykańsko-sowieckie ulegają stałemu pogorszeniu. Stwierdza, że rozwój tej sytuacji staje się niebezpieczny, ale równie niebezpieczna byłaby polityka „głaskania" Rosji. Chwilowe okresy odprężenia nie zmienią w niczym zasadniczego rozwoju stosunków amerykańsko-sowieckich. Autor nie zdaje się też podzielać nadziei niektórych polityków amerykańskich, że system sowiecki załamie się pod naciskiem trudności zewnętrznych i wewnętrznych oraz wyczerpania się energii grupy rządzącej Rosją od lat 30. Prof. Falls zauważa, że trudności te mogą pozostać niezauważone przez społeczeństwo sowieckie, względnie rozwiązania ich Rosja może poszukiwać w wojnie.

Ostatecznie prof. Falls dochodzi do takich wniosków:

„Na tym ponurym tle Zjednoczone Królestwo i Brytyjska Wspólnota Narodów stoją wciąż jako trzecie mocarstwo światowe. Częstokroć słyszy się twierdzenia, że jest ono przywiązane do rydwanu państwowego St. Zjednoczonych, gdy równocześnie istotna, ale krzykliwa mniejszość chciałaby chętnie sprowadzić je do stanowiska jeszcze jednego lennika Związku Sowieckiego. Poważny badacz wydarzeń niewiele znajdzie danych na poparcie przekonania, że polityka brytyjska, albo Wspólnoty, o tyle, o ile istnieje jako ogólna polityka — jest podporządkowana polityce St. Zjednoczonych i jest w najwyższym stopniu pożądane, aby nią nie była. To, aby W. Brytania z własnej, nieprzymuszonej woli miała kiedykolwiek się stać pachołkiem Związku Sowieckiego, jest raczej nie do pomyślenia. Niemniej polityka przeciwstawiania jednego mocarstwa drugiemu nie jest również godna polecenia. Przede wszystkim może ona również przyspieszyć starcie, jak zachować pokój. Następnie nie odpowiada to własnym pragnieniom lub interesom W. Brytanii. Bez względu na to, czy uznajemy lub nie posunięcia amerykańskiej polityki zagranicznej, jakiekolwiek niebezpieczeństwa upatrywać możemy w amerykańskiej polityce gospodarczej, nie możemy unikać wniosku, że 1) St. Zjednoczone nie stanowią dla nas samych fizycznego niebezpieczeństwa, gdy natomiast Sosja sowiecka może nim być, i 2) że brytyjskie tradycje, ideały, sposób życia i nadzieje dotyczące przyszłości świata znajdują się same w o wiele większej harmonii z ideałami St. Zjednoczonych aniżeli Rosji sowieckiej.

„Jakkolwiek nasza własna polityka nie potrzebuje i nie powinna być niewolniczym naśladowaniem polityki St. Zjednoczonych, wykazaliśmy też, że podporządkowanie się żądaniom Rosji nie pozyska nam szacunku. Rozprawianie zaś na temat prowokacji rosyjskich prowadzi tylko do ich zwiększania się. Nieugiętość, jak się dotychczas wydaje, nie dała dużych zysków, ale na dłuższą metę prawdopodobne jest, że okaże się bardziej korzystna, aniżeli polityka uspokajania. Nie ma powodu do skrajnego pesymizmu, ale jednocześnie byłoby niebezpiecznym pozwolić na to, aby troska o finansowy i gospodarczy stan naszego kraju przesłoniła nam mniej korzystne strony położenia międzynarodowego. Zrównoważona i konsekwentna polityka zagraniczna, nie wyolbrzymiająca niebezpieczeństwa, nie podkreślająca w zbytnim stopniu tego, co jest nieuniknione w przeznaczeniu, ale z drugiej strony wystrzegająca się optymizmu, nigdy nie była bardziej istotną, aniżeli w obecnej godzinie".

Ocena ta zbiega się z poglądem, który wyraziliśmy niedawno na temat zbytniego przygłuszenia w prasie brytyjskiej spraw międzynarodowych troskami wewnętrznymi.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Ulegając wielokrotnym prośbom naszych czytelników, redakcja O.B. postanowiła uruchomić stały dział rozrywek umysłowych.

Rozwiązania krzyżówki nr. 1 nadsyłać należy do dnia 2 października (ostatni termin) na adres redakcji: 186a, Av. Rogier Bruxelles — Scharbeek (Belgium).

Szczegóły dotyczące przewidzianych nagród podamy w następnym numerze.

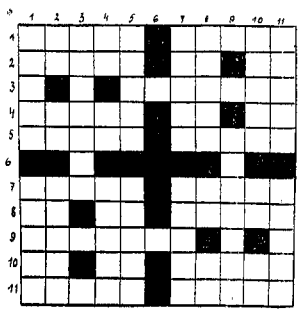

KRZYŻÓWKA nr. 1.

Poziomo

1. Służy do gry, — utwór religijno-poetycki.
2. Cicha mowa (wspak), — Wykrzyknik, — Litera fonetycznie.
3. Uprawna roślina rdestowata.
4. Pieniądz, — Gwarowe: toć (wspak), — Skrót wojskowy.
5. Drzewa zawsze szumiące, — Broń husarii.
7. Sielanka (brak jednej litery), — Fantazja, wzniosłość (wspak).
8. Spółgłoska i samogłoska, — Miara ziemi, — Pożądane w sprawie karnej.
9. Imię 14-tu Papieży.
10. Bóg słońca, — Dwie spółgłoski, — Wyspy na Atlantyku.
11. Wojsko, — Król duński, siostrzeniec Chrobrego.

Pionowo

1. Pytanie — Ogień w małej ilości —.
2. Dziecinne pożegnanie (wspak) — Karta — Pieniądz.
3. Bruzdy.
4. Dwie spółgłoski — Przyimek (wspak) — Portrecista znany w Polsce XVIII w.
5. Kwiaty — W cyrku.
7. Kawałek drzewa — Narzędzie kuchenne.
8. Gromada zwierząt — Skrót tłuszczu — Przyimek.
9. Miejsce ćwiczeń artylerii.
10. Mało ważący — Rzoka w Azji — Miasto z którego wyszedł Abraham (wspak).
11. Miasto w Polsce — Ruda.

Przegląd gospodarczy

KRYZYS BRAKU DOLARÓW W ANGLII

Jak zazwyczaj po fakcie odezwały się w Anglii mocne krytyki polityki gospodarczej rządu Partii Pracy. Podajemy je wskrócie telegraficznym.

Szef rządu p. Attlee oświadczył „być może, że usiłowaliśmy zrobić za wiele". Ta samokrytyka jest prawdopodobnie słuszna. Nigdy jeszcze rząd angielski nie przedłożył parlamentowi tyle i tak olbrzymich ustaw i nigdy jeszcze ten parlament nie pracował tak, jak w ostatnich dwóch latach.

Opozycja zarzuca rządowi, że choć odbudowa przestarzałych kopalń węgla jest b. potrzebna, to owoce jej przyjść mogą dopiero w dalszej przyszłości. Ekonomiści stwierdzają, że upaństwowienie kolei było aktem gospodarczo bez żadnego znaczenia. Trudna była, żmudna i zawiła zamiana akcji i obligacji kolejowych na obligacje rządowe. Energia narodowa została skierowana — mówią — w niewłaściwą stronę.

P. Roy Harrod z uniw. Oxfordzkiego redaktor „Economic Journal" wysunął w odczycie radiowym zarzut ten najściślej. W czasach ujemnego bilansu płatniczego w kraju, w którym praktycznie nie ma bezrobotnych, nie można odciągać ludzi pracujących dla natychmiastowej produkcji do pracy nad kapitałowymi inwestycjami, które dopiero kiedyś w przyszłości będą się rentowały.

Dalszy zarzut tego ekonomisty, z którym każdy musi się zgodzić, jest fakt, że rząd W. Brytanii nie załatwił w czasie właściwym odpisania zobowiązań wojennych.

DZIKIE STRAJKI

Co atoli jest, zdaje się, najsmutniejszym objawem rzeczywistości angielskiej, to fakt, że rząd, który wyszedł z organizacji robotniczej stracił łączność z dołami robotniczymi. Strajki dzikie w Yorkshire, gdzie niechęć robotników do posunięcia się w czole kopalni o dwie stopy dziennie więcej niż dotychczas, na co czas pozwalał i na co zgodzili się delegaci robotników, spowodowała natychmiast zatrzymanie 14 kopalń, zatrudniających 16 tysięcy robotników i stratę 100.000 ton dziennej produkcji. Przecięcie tygodniowe wydobycie węglarza angielskiego jest 5.1 ton, polskiego i holenderskiego przeszło 9 ton.

Związki zawodowe angielskie rozrosły się w potężną, ale biurokratycznie scentralizowaną maszynę z tym wynikiem, że robotnikami kierują i opinię ich urabiają czynniki nieznane. Prawie wszystkie strajki w ostatnich latach były strajkami dzikimi prowadzonymi bez wiedzy i woli Związków. Związki, te, jeżeli nie mają stać się czystą fikcją, muszą być zdecentralizowane.

PLANY KOLONIALNE

Pod wpływem kryzysu angielskiego zapomina się, że poza Anglią stoją niezmierzone i w znacznej mierze jeszcze nie wyzyskane zasoby kolonialne. Z przemówienia podsekretarza stanu kolonii Ivora Thomasa czerpiemy szczegóły planu 10-letniego dla 16 kolonii. Wydatkowane ma być 175 milionów £ w dwóch trzecich z własnych dochodów kolonii, w jednej trzeciej z kasy funduszu rozwoju i dobrobytu kolonialnego. System kolejowy ciągnący się z Południowej Afryki, poprzez Południową i Północną Rodezję, ma otrzymać połączenie z Ugandą. Pokłady diamentów znalezione w Tanganaice zostały oddane do eksploatacji. Dla uruchomienia nowych kopalń ołowiu w tym kraju będzie wybudowana nowa linia kolejowa o długości 130 mil ang.

Stworzona została „Colonial Development Corporation" na zasadach handlowych z kredytem 100 mln. funtów (Prezes Lord Trefgarne), której pierwszym zadaniem będzie wykonanie planu plantacji orzeszków ziemnych, celem zaopatrzenia Imperium w tłuszcze roślinne. Plan opracowany został przez amerykański oddział holendersko - angielskiego koncernu „Lever". Rozległe studia czyni się nad uprawą bawełny w Afryce, głównie w Sudanie. Czarny robotnik jest tani i wystarczy na wykonanie zamierzeń.

Rząd Południowej Rodezji wykupił był całą sieć kolejową od trustu założonego jeszcze przez Cecila Rhodesa. Transakcja ułożona w duchu i intencjach zmarłego pioniera przyniosła rządowi kilkanaście milionów funtów zysku w niepoliczonych aktywach.

Szczególne bogactwo Północnej Rodezji stanowi miedź. Kopalnie miedzi mogłyby znacznie powiększyć swą produkcję, gdyby nie brak węgla. Najbliższa kopalnia Wanke odległa jest od kopalń 600 mil ang. i kolej z braku lokomotyw i wagonów dostarczyć im mogła tylko 30.000 ton węgla. Lokomotywy i wagony są już w drodze.

Południowa Rodezja jest głównym źródłem tytoniu, nie ustępującego średnim gatunkom Virginii. Tutaj również istnieją możliwości wielkiego rozwoju, o ile zapewniony zostanie napływ białych plantatorów.

Planowe wyzyskanie możliwości afrykańskich mogłoby poprawić bilans płatniczy Imperium i umożliwić już obecnie zdrowe finansowanie tych planów kosztem amerykańskim.

POTĘGA KANADY

Podczas gdy macierz Imperium przechodzi ciężki okres zwątpień a nawet paniki, nieliczne społeczeństwo kraju wielkości Europy — Kanada daje nam obraz zdrowej siły. Wywóz Kanady w wys. 1.3 miliarda dolarów równoważy się z wywozem. Udział Kanadyjczyka w światowym obrocie towarów jest większy od udziału obywatela Stanów. Kanada jest nie tylko bezcenną zasłoną strategiczną dla USA, ale również ich najcenniejszym odbiorcą. W przywozie kanadyjskim Stany uczestniczą w 83 procentach a Zjednoczone Królestwo tylko w 7%, natomiast w wywozie Stany odbierają tylko 40 % a Zj. Królestwo 24%. Ta dysproporcja jest przyczyną trudności walutowych. Trudności te byłyby łatwe do usunięcia, gdyż kredyt Kanady w Stanach jest praktycznie nie do wyczerpania. Ponieważ jednak Amerykanie mają już około 5 miliardów dol. zainwestowane w Kanadzie, a kwota inwestycji Kanadyjczyków w Stanach nie przekracza 1,7 miliardów dolarów, więc rząd kanadyjski nie chce się głębiej uzależniać od Stanów. Kanadyjczycy pamiętają, że ich wielka rola na świecie, ich niezrównana potęga polityczna polega na tym, że są naturalnym łącznikiem i pośrednikiem pomiędzy światem amerykańskim a Anglikami i Francuzami, a więc i kontynentem Europy.

Dobre usługi Kanady są dla naszej cywilizacji rzeczą nieocenioną.

St. R.

Ostatnie oddziały Polskich Sił Zbrojnych opuszczają Bliski Wschód

WARSZAWSKI KRAWIEC
F. PALMAN
przyjmuje nowe zlecenia i wykonuje je w możliwie najkrótszym terminie
Wielki wybór pierwszorzędnych materiałów damskich i męskich.
Ceny umiarkowane.
52, Berwick Street (Oxford Circus) London, W. 1. Tel.: GER 3068.
036

KSIĄŻKI SZKOLNE
dla Gimnazjów i Szkół Powszechnych poleca
Księgarnia „LIBELLA"
12, rue St. Louis en l'Ile — Paris IV
metro: Sully — Morland
Żądajcie bezpłatnych katalogów
0 29a

W związku z transportami dla EMIGRANTÓW POLAKÓW, którzy mają zamiar wyjechać do ARGENTYNY, podajemy do wiadomości, że Kompania Nawigacyjna „DODERO LINIA" ma miejsca na okrętach: „CORDOBA" i „ENTRE RIOS", które RAZ W MIESIĄCU na przemian odejdą z portu SOUTHAMPTON do BUENOS AIRES.
Bliższych informacji udzielają reprezentanci:
STELP & LEIGHTON Ltd., 9—13, Fenchurch Buildings, London E.C. 3.
033

NYLONY 20 sh. para oraz inne paczki do Polski
CYLKOWSKI, 21, Redcliffe Street LONDON S. W. 10
021

TANIO I SZYBKO dostarczam wszelkie odznaczenia wojenne brytyjskie i polskie, baretki pojedyńcze za 3—2/6, platrony baretek po 1 szylingu, z podkładką welwetową po 1/3 od baretki.
Naklądki na baretki od 9d do 1/6 za szt. M. Fox, 31 Buckingham Palace Road, London S. W. 1.
028

NEW COURT HOTEL,
45, Inverness Terrace, London, W. 2.
Tel.: BAYswater 1453.
Komfortowe pokoje z utrzymaniem.
Mówi się po polsku. 042

Kostiumy z najlepszych materiałów firmy
VANEK
znać rękę kontynentalnych mistrzów: krojczego i krawca
4, William St., Knightsbrige, S. W. 1.
również Bournemouth 025

FUTRA
w Polsce bardzo drogie, a zima sroga,
Zaopatrz się, lub Swoich.
Polski kuśnierz LANGER & CO. Ltd., 1, Notting Hill Gate — London W. 11. Tel.: BAY 3773.
Doradzi i sprzeda tanio. Przenoszone FUTRA naprawia, odnawia i przechowuje. 031

KSIĘGARNIE POLSKIE „ORBIS"
Londyn: 38 Knightsbridge, S.W. 1, tel. SLOane 2791.
Edinburgh: 31a Castle Street tel. 24705
Otwarte codziennie do 6-tej, w soboty do 5-tej
WIELKI WYBÓR
książek i czasopism, podręczników do nauki języków, słowników, podręczników technicznych i zawodowych
DZIAŁ ODZNACZEŃ WOJSKOWYCH
Zamówienia pocztowe wykonywane są natychmiast 027

DOKTOR PRAW
TŁUMACZ PRZYSIĘGŁY przy Sądzie Najwyższym
Tłumaczenia urzędowe — śluby — naturalizacje — sprawy sądowe — cywilne — handlowe — podatkowe.
Porady bezpłatne.
Dr. Leon Szelągowski
3, rue Debrousse - PARIS (16-e)
Metro: Alma-Marceau 07a

KLUB BIAŁEGO ORŁA
2, Albert Gate — London S. W. 1.
zawiadamia, że po całkowitej przebudowie kuchni
RESTAURACJA I KAWIARNIA
są otwarte codziennie nie wyłączając niedziel i świąt.
Przy restauracji OGRÓDEK czynny w dnie pogodne 041

Ukazały się w sprzedaży
PUŁK. DR. T. FELSZTYNA
„DZIEJE 2. KORPUSU"
Cena 5 szylingów — Cena 5 szylingów
Do nabycia w księgarniach i u kolporterów lub za przesłaniem należności do „Gryf Publication Ltd", 59/61 Hatton Garden, London E. C. 1.
031

ABONAMENT „ORŁA BIAŁEGO"

W celu zaabonowania „Orła Białego" w W. Brytanii wystarczy wyciąć niniejszy kupon i po wypełnieniu przesłać w kopercie pod adresem: Gryf Publications LTD. 59/61 Hatton Garden, London E. C. 1.

Należność za prenumeratę z przesyłką pocztową miesięcznie 3 sh 6 d, kwartalnie 10 sh, rocznie 36 sh prosimy załączać w Postal Orderach, Money Orderach lub czekiem.

Dla uniknięcia pomyłek prosimy o czytelne wypełnienie kuponu.

Gryf Publications LTD, 59/61, Hatton Garden, London E. C. 1.

Proszę o przysłanie pod adresem . . . . . .
Imię i nazwisko
. . . . . .
Dokładny adres — urząd pocztowy
. . . . . .
stacja kolejowa
. . . . . .
ilość egzemplarzy tygodnika „Orzeł Biały", poczynając od dnia . . . . . .

Należność za okres 1 miesiąca — 3 miesięcy — 1 roku (niepotrzebne skreślić) **załączam**

Dn. 1947
. . . . . .
podpis zamawiającego

PRENUMERATA z przesyłką pocztową (opłata za przesyłkę lotniczą według taryfy):

W W. BRYTANII szylingów: miesięcznie 3/6, kwartalnie 10/- rocznie 36/-. Należność za prenumeratę, nadesłaną czekiem Postal Orderem lub Money Orderem, przyjmuje przedstawicielstwo „Orła Białego" Gryf Publications LTD, 59/61 Hatton Garden, London E. C. 1. Tam należy kierować poszukiwania osób i nekrologi.

W BELGII franków belg.: miesięcznie 20, kwartalnie 60. Należność za prenumeratę wpłacać na rachunek pocztowy Solange Philippe C. C. P. nr. 783.066, podając na blankiecie tytuł zamówionego pisma i dokładny swój adres.

WE FRANCJI franków fr.: miesięcznie 40, kwartalnie 120, rocznie 480. Zamówienia oraz należność przyjmuje red. TADEUSZ KOPEĆ 80 Rd de Charonne — PARIS XX, nr. konta pocztowego Paris ce 671392 lub S-TE „LIBELLA" Librairie — 12 rue St. Louis en l'Ile — PARIS nr. konta pocztowego Paris ce 505150.

W HOLANDII miesięcznie fl.: 1,50, kwartalnie 4,30. Wpłacać przekazem pocztowym: Poolsch Aalmoezenier, Gasthuisstr. 45 Heerlen (Limburg).

W SZWAJCARII franków szw.: miesięcznie 1,50, kwartalnie 4,30. Należność za prenumeratę wpłacać białym czekiem pocztowym (mandat de poste interne) pod adresem. Fribourg 2. Case postale 19.

WE WŁOSZECH lir: kwartalnie 420. Prenumeratę przyjmuje J. MIECZNIKOWSKI, „Kiosk Polski", via Vittorio Veneto 62. Roma. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym.

W SZWECJI koron: miesięcznie 2,50, kwartalnie 7, rocznie 28. Prenumeratę przyjmują „Wiadomości Polskie", Riddaregatan 23/I, Stockholm.

OGŁOSZENIA na terenie W. Brytanii przyjmuje wyłącznie firma BERRY Company, 437, Grand Buildings, Trafalgar Sq., London W. C. 2. CENA OGŁOSZEŃ: za jeden cal przez łam £. 1.—

NADESŁANYCH RĘKOPISÓW REDAKCJA NIE ZWRACA
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA NIE BIERZE ŻADNEJ ODPOWIEDZIALNOŚCI

ADRES REDAKCJI: Bruxelles (Scharbeek) 186a, Avenue Rogier
WYDAWCA: S. Philippe. Reg. de Comm. No. 141569/41 — Bruxelles

Imprimé en Belgique par Imprimerie Industrielle et Financière „IMIFI" S. A. 47, rue du Houblon, Bruxelles